

# Kamena

LUBLIN LUBELSK BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

LUBLIN 9.VI.1968 Nr 12 (393) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

Spór o miasta

Janusz Danielak

## PROWOKUJE DO DYSKUSJI

NIE będą to rozważania „fachowe”. Nie jestem bowiem urbanista, lecz dziennikarzem. Jednakże nasi lubelscy urbanisci niechętnie sięgają po pióro. Rzeklibym, że działają prawie w konspiracji — o czym będzie jeszcze mowa.

Ale, przy całym swoim poczuciu skromności i niekompetencji, spróbuję jednak na problemy naszych miast spojrzeć nieco szerzej, niż robi to na przykład „Kamena” w pożytecznym składniku cyklu „Miasteczko na dłoni”. Może na dłoni, ale nie na pustyni przeciw.

Będę pisał o problemach urbanizacji Lubelszczyzny. Ale sądzę, że większość stwierdzeń ogólnych da się odnieść do wszystkich czterech wschodnich województw.

Najslabiej w Polsce zurbanizowanych.

Właśnie — czy z tego powodu wszczynanie sporu nie jest przedwczesne?

### Szansa ...zacołania

Już dwa lata temu w Polsce ludność miast zrównała się z ludnością wsi. W województwie katowickim trzy czwarte ludności mieszka w miastach. My pozostajemy daleko w tyle. Białostockie — 34 procent, kieleckie — 30, rzeszowskie — 26, lubelskie — 27 procent. Sam koniec statystycznej tabeli. Może więc cała ta — tak mała — przeciw urbanizacja — to problem wymyślony? O co się tutaj bić?

O rzecz niebiałą — o przyszłość. To nie paradoks: nasze opóźnienie daje nam szansę. Szansę uniknięcia wielu grzechów, gdzie indziej już dawno popełnionych. Szansę na to, żeby nasze miasta były mądrzej zaplanowane, zdrowsze, piękniejsze.

Bo jednak urbanizacja — czy sobie tego życzymy czy nie — „ominać” się nie uda. Jest zjawiskiem powszechnym, ściśle związanym z rozwojem współczesnej cywilizacji. W ciągu 50 lat ludność miast świata zwiększyła się o pół miliarda. Ale demografowie przewidują, że w ciągu najbliższych czterdzie-

stu lat w miastach trzeba będzie jeszcze zmieścić trzy miliardy ludzi. To liczby astronomiczne i może zbyt odległe od Kocka czy Hrubieszowa. A jednak ich cienia nie unikniemy — mimo całej rolniczej specyfiki Lubelszczyzny.

Można zresztą mówić już o tym w czasie teraźniejszym: w ciągu ostatnich dwudziestu lat ludność miast województwa lubelskiego wzrosła dwukrotnie i wynosi już ponad pół miliona. I w ramach tej „małej” urbanizacji popełniliśmy już niemało grzechów zasadniczych. Grozi nam o wiele więcej, jeśli wciąż i z uporem będziemy widzieć Lubelszczyznę sielsko-wiejską tylko. Także w naszej publicystyce. Jeśli już problemów urbanistyki dotykamy — to w najlepszym razie z perspektywy jednego źle ustawionego kłosa. Przesadzam, ale nie bardzo.

### Dygresja

Ta dygresja do żadnych wniosków raczej nie doprowadzi. Ale byłbym chyba nieuczciwy, wątpliwości tych nie przedstawiając. Bo co to jest właściwie miasto? Można by przytoczyć ze dwadzieścia różnych definicji, czego oczywiście, Bogu dzięki, nie zrobię, raczej do intuicji już się odwołując.

Nasze roczniki statystyczne — z których czerpałem może zbyt obficie — stosują się tylko do statusu administracyjnego danej miejscowości. Ale kryterium to z gospodarczą i społeczną rzeczywistością niewiele ma wspólnego. Bo czym się różnią „miasta” Stoczek i Ostrowo czy „wsi” Tarnobrzeg czy Janowa Podlaskiego?

Nie obowiązuje u nas kryterium zaludnienia. Stąd na przykład w województwie poznańskim jest aż 25 „miast” poniżej dwóch tysięcy mieszkańców.

W Holandii miasto „zaczyna się” od dwudziestu tysięcy, we Włoszech — od dziesięciu. W Belgii — od pięciu, w większości krajów — od dwóch tysięcy mieszkańców. Te czyste ilościowe kryteria też oczywiście budzą wątpliwości. Mniej — i więcej — niż pozostawienie ca-

(Dokończenie na str. 10)



Fragment izby pamiątek w Baranowie

Fot. Jan Urbanowicz

## Izby pamiątek

Ireneusz J. Kamiński

P OWAŻNE znaczenie wychowawcze i kulturotwórcze wiejskich izb pamiątek jest tak oczywiste, że nie wymaga szerszego uzasadnienia. Są one przy tym kolejnym dowodem odwołania się naszej wspólczesności do tradycji ludowej, do soczystej i różnorodnej warstwy faktów, których przetworzone treści dynamizują niejedno dzisiejsze zjawisko społeczno-kulturalne. Nad dorobkiem kultury plebejskiej, że posłużymy się tym historycznym pojęciem, od wieków ciążyło znamie anonimowości; twórcy różnorodnych wartości, pochodzących z tej warstwy, owi rybacy i sówizdrzały, rzeźbiarze ludowi i poeci, rzemieślnicy o złotych dłoniach, kosyńnicy i uczestnicy strajków robotniczych początku nowego wieku niknęli z pola narodowej uwagi przytłoczeni podreźnikowym rejestrem błękitnokrwistych indywidualności. Współczesność, w poszukiwaniu genealogii siebie samej, uchyliła zasłonę tej anonimowości, a proces ten trwa nadal. Jednym z jego ogniw stają się właśnie izby pamiątek.

Istnieją od niedawna, zaledwie dwa i pół roku upłynęło od chwili ogłoszenia na łamach „Kamena”

apelu Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, inicjującego zakładanie tych placówek. W tym czasie zorganizowano na Lubelszczyźnie 28 izb, a plany Wydziału Kultury Prez. WRN przewidują uruchomienie jeszcze kilkadziesiąt. Zyciorys ich jest więc skromny, a charakter lubelskiej społeczności wiejskiej, określany konfliktem przeciwstawnych autorytetów, tradycyjnych i nowych wzorców kulturowych, metrykę tę jeszcze skraca. Czy znaczy to, że izby pamiątek na Lubelszczyźnie znajdują się w stadium raczkowania? Na pewno nie, jeśli spojrzeć skierujemy na kilkanaście placówek zasobnych i środowiskowo aktywnych, obecnych w życiu wsi. Na pewno tak, jeśli zwrócimy uwagę na pozostałe, które z takich czy innych względów dość niemrawo przechodzą etap organizacji. Obraz jest więc urozmaicony, uniemożliwia generalną i jednoznaczną ocenę działalności izb. Poszukajmy przyczyn nierównomiernego ich zaawansowania organizacyjnego. Niech nam przy tym towarzyszy przekonanie o bezwzględnej wartości idei izb pamiątek.

Oto wieś Karcznicka w pow. opolskim, licząca ok. 4 tys. mieszkańców. Wieś majątna i szczytąca

się pokaźną tradycją historyczną, w której poczesne miejsce zajmuje ruch oporu. Izba pamiątek mieści się w salce domu kultury i posiada zbiory z zakresu etnografii, numizmatyki oraz bogatą dokumentację, fotograficzną i drukowaną, dotyczącą przeszłości i współczesności. Na honorowym miejscu wiszą gabloty, których zawartość obrazuje działalność partyzantki w czasie okupacji oraz dorobek miejscowego teatru, liczącego sobie ni mniej, ni więcej, ale równo 50 lat! W repertuarze teatru odnalazć można Fredre, Baluckiego, Konopnicką, no i, oczywiście, „Zemstę Cygana”, ale także Szaniawskiego.

W izbie znajduje się telewizor. Dobrze to, czy źle, czy przypadkiem konkurencja małego ekranu nie odwraca uwagi od zasadniczych obiektów tego pomieszczenia. Chyba dobrze, ponieważ telewizor przyciąga młodzież do domu kultury, a cenę należy także przypatrzeć spojrzeć na zdjęcie kołosa, kto w czasie wojny nie czekał biernie na wyzwolenie.

W tej właśnie izbie odbywają się lekcje wychowania obywatelskiego i chwala temu, kto wpadł na ten pomysł. Nauczycielskie słowo o potrzebie patriotyzmu i społecznego uczestnictwa otrzymuje konkretne potwierdzenie w treści dokumentów, w opisach ludzkich postaw w czasach dramatycznych, wymagających całkowitego zaangażowania, które dać może tylko miłość ojczyzny.

(Dokończenie na str. 4)

Zakładowe domy kultury

## W KRAŚNIKU FABRYCZNYM OMNIBUS ABSOLUTNY

Maciej Podgórski

ŚWIĘTA mowa redakcyjna w rodzaju: Kraśnik Fabryczny ma dobrze pracujący Zakładowy Dom Kultury, trzeba tam pojechać i zobaczyć się (tj. „zabrać materiał”). No cóż — myślałem, chowając delegację do kieszeni — sprawa raczej prosta: dobrze pracujący Zakładowy Dom Kultury to placówka skutecznie organizująca życie kulturalne przede wszystkim wśród pracowników zakładu oraz ich rodzin. Wyjadę, obejrzę, pogadam, wrócę, wystawię laurkę — i spokój!

Wyjechałem, obejrzałem, pogadałem i wróciłem. Ale laurki nie będzie, bo nie odczuwam błogiego spokoju, gdy myślę o działalności ZDK w Kraśniku Fabrycznym. Lecz nie będzie też paszkwilu w rodzaju: temu brak kompetencji, tamten organizacyjny „nieudacznik”, ów „obojetniak”. Rzecz bowiem nie w przewinieniach indywidualnych — sprawa jest ogólniejsza i z tych więcej skomplikowanych. Oto miejsce, gdzie zaistniała

SPRAWA. Kraśnik Fabryczny — siedziba ZDK. Czym zajmuje się Zakładowy Dom Kultury w Kraśniku Fabrycznym? Przede wszystkim „naszą młodzież” szkolną i „naszą działwą” szkolną. Co jest chyba typowe dla pracy domów kultury w ogóle.

Czegóż to się nie robi na niwie oświatowej i artystyczno-rozrywkowej dla „przyszłości narodu”? Kursy językowe; angielskiego i rosyjskiego; kółka; plastyczne, sprawnych rąk dziewcząt, filatelistów; modelarnie; szkutnicza i „lotnicza”; pracownia fotograficzna; zespoły: czytelnicze (dwa), recytatorskie (dwa), teatralne (dwa), tańeczne (trzy), wokalne (pięć — sekstet dziewczęcy, kwintet dziewczęcy, kwartet mieszany, chór dziecięcy i jakoweś „małe formy młodzieżowe”); zespół big-beatowy „Pastela”.

Zbiżony typ prac prowadzi się, w niektórych wypadkach, także z dorosłymi (dwa kursy: kroju i szycia, dwa zespoły teatralne, zespół tańeczny, wokalny, instrumentalny). Wystarczy jednak powiedzieć, że udział dorosłych wynosi tu 93 osoby, zaś dzieci i młodzieży (w ogromnej części — szkolnej) — 389 osób.

W bibliotece ZDK (największej w mieście) masa lektur szkolnych, zaś połowa czytelników to laturości. Bardzo wiele przedsięwzięć obliczonych na dzieci i młodzież. Na terenie ZDK — imprezy oświatowe, przedstawienia

teatru amatorskiego i zawodowego (Im. J. Osterwy oraz Lalki i Aktora z Lublina), koncerty filharmonii. W okolicznych szkołach — przedstawienia amatorskiego teatru baśni z ZDK, akademie. Organizacja wycieczek, odpoczynku i zabaw w czasie wolnym od nauki.

Nie preparuję instrukcji na temat, jak dom kultury z młodzieżą pracować powinien. Te i dalsze sumienne wyczerpanie potrzebne mi są do innych zgoda celów. Komu sprawa kultury na prowincji jest bliska, ten bohaterstwo przetrzyma owe bilanse. Muszę więc kontynuować w pocie czoła swoje żoźne dzieło, tyle że już krócej, bo i konkretnego materiału trochę mniej.

Niektóre z wymienionych ostatnio przedsięwzięć mają swoje odpowiedniki, jeśli chodzi o działalność dla dorosłych (spektakle teatralne, koncerty, akademie) z okazji tzw. wielkich rocznic. Ponadto — spotkania autorskie, wystawy, konkursy, odczyty — normalne formy pracy każdego domu kultury. To wszystko dla mieszkańców Kraśnika Fabrycznego, ale też i powiatu (szczególnie dla miejscowości, skąd dojeżdżają pracownicy tutejszego zakładu —

Kraśnickiej Fabryki Wytwarzania Metalowych). Trzeba także współdziałać z PDK, nie posiadającym zbyt doskonałego wyposażenia i dostatecznych warunków lokalowych.

Nie wiem, jaka jest częstotliwość wymienionych imprez i przedsięwzięć, jaka frekwencja odbiorców, rzeczywisty zasięg społeczny działalności placówki (nie mogłem wszystkiego obejrzeć i zabrać przez dwa dni, dlatego powściągam niecie podjętym). W każdym razie rozpiętość merytorycznych poczynań ZDK oraz naturale społeczne i — by tak rzec — terenowe placówki wydają się niezwykle szerokie, co zostało udowodnione.

Z drugiej zaś strony trzeba liczyć się z możliwościami i potrzebami czynników współpracujących: TWP, SAIW, Lubelskim Oddziałem ZLP i ZPAP. A przecież kompetencje swoje w zakresie poczynań ZDK potrafi uzasadnić cały szereg organów w takim lub innym sensie nadrzędnych: administracja fabryki, Rada Zakładowa, Zarząd Okręgowy Związku Metalowców, wydziały kultury rad narodowych (z różnych szczebli terenu Lubelszczyzny), komitety PZPR (zakładowy, miejski, powiatowy)... Zdarzają się i takie scenki. Rozmawiam z instruktorką oświatową domu kultury. Do pokoja wkracza nieśmiało Zaspary Jęgomski — „Ja jestem inspektor szkolny, chciałem skorzystać z sali, mam czwórkę ludzi na wykład”

(Ciąg dalszy na str. 6)



Literatura

13 maja w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie rozpoczęły się Międzynarodowe Targi Książki, na których wystawiono ponad 60 tysięcy książek z całego świata. W pierwszym dniu zanotowano 10 tysięcy zwiedzających. Udział w Targach biorą prawie 2000 wydawców z 25 krajów oraz ONZ.

11 maja zakończyło się w Gdańsku czterodniowe spotkanie literackie polsko-skandynawskie. Mówiono głównie o powstaniu literatury współczesnej świata oraz polsko-skandynawskich kontaktach literackich.

Jury pod przewodnictwem Janusza Sławińskiego przyznało jednomyślnie ustaloną przez Szczecińskie Towarzystwo Kultury doroczną nagrodę za najwybitniejsze osiągnięcia w dziedzinie krytyki poetyckiej Janowi Błosińskiemu za całokształt twórczości ze szczególnym uwzględnieniem książki „Mikolaj Sep-Szarzynski, a początki polskiego baroku”. Jest to już trzeci z kolei nagroda. W roku 1966 uzyskał ją Mieczysław Jastrun, w roku 1967 — Janusz Sławiński.

W Bukareszcie odbył się wieczór poświęcony Władysławowi Reymontowi w związku z obchodami przez cały świat kulturalny 100 rocznicy urodzin polskiego pisarza. Na wieczór, zorganizowany przez Związek Pisarzy Rumuńskich i Narodową Komisję dla spraw UNESCO, przybyli liczni mieszkańcy Bukaresztu, pisarze, naukowcy.

18 maja w Bydgoszczy odsłonięto pomnik Henryka Sienkiewicza, w tym samym miejscu, gdzie stał poprzedni, zniszczony przez hitlerowców w 1939 r. Pomnik, ufundowany ze składek społeczeństwa, zaprojektował i wykonał Stanisław Horo-Popławski.

Stowarzyszenia pisarzy szwajcarskich, piszących w językach francuskim i niemieckim, doszły po raz pierwszy do porozumienia. Wszystkie wybitniejsze pozycje napisane w jednym języku zostaną przetłumaczone na drugi i wydane.

Stowarzyszenie poetów francuskich rozdało swoje cztery główne nagrody: Grand Prix otrzymał André Stirling za 5 tomów, nagrodę Honoris Valmore Kanadyjka Anne Hébert za „Grób królów”. Grand Prix krytyki poetyckiej Henri Clouzard za „Historie literatury francuskiej od symbolizmu do naszych dni”, nagrodę Przyjaźni Jorge Carretera Andrade, literat i ambasador Ekwadoru w Holandii.

Nagrodę literacką księcia Monaco otrzymał powieściopisarz francuski Jean Cayrol za książkę „Je l'entends encore” — są to wspomnienia młodego człowieka o dzieciństwie, które spędził w obozie w Mauthausen. Cayrol już w wieku 18 lat był redaktorem czasopisma „Pszczoły i Myśli”.

Wskutek gwałtownych protestów publiczności jury nagrody literackiej i dziennikarskiej im. Adenauera w Mauthausen odrzuciło bezterminowo wręczenie tych nagród. Miał je otrzymać 67-letni Emil Franzel i 78-letni Franz Thies, znani ze swych bliskich powiązań z NPD.

Teatr

Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu wystąpił z repertorium sztuki Zdzisława Wróbla pt. „Majakowski”, przygotowanej z okazji zbliżającej się 75 rocznicy urodzin wielkiego poety radzieckiego. Autor, znany literat pomorski, szeroko wykorzystał w dramacie, który jest rodzajem scenicznego fresku, wiersze Majakowskiego, jego artykuły, listy, wypowiedzi i inne materiały dokumentalne.

Premiera sztuki „Nočna opowieść” Krzysztofa Chojńskiego rozpoczęła się „V Siłska Wiosna Teatralna” — tym razem w Zabrze. Teatr dramatyczny z województwa, Opera Bytomska i Operetka Gliwicka dadzą razem 36 przedstawień w 11 miastach.

Od 23 maja do 3 czerwca Teatr Wielki w Łodzi zorganizował „Łódzkie spotkania baletowe” — pierwszą tego rodzaju imprezę.

Warszawski Teatr Powszechny na festiwalu w Helsinkach pokazał „Wesela” Wyspiańskiego i „Don Juan” Molière, obie sztuki w reżyserii A. Hanuszkiewicza.

Berliner Ensemble wystawił nieznana w Polsce sztuki Brechta „Mann ist Mann”. Rzecz jest bardzo aktualna politycznie, mimo że napisana przed 40 laty; o armii najędźców w jednym z krajów azjatyckich.

Na występy w Europie przyjechał amerykański zespół teatralny „Bread and Puppet” z dwoma sztukami przeciwko wojnie wietnamskiej. W USA daje on często sztuki przeciwko dyskryminacji rasowej.

Royal Shakespeare Company w Londynie rozpoczyna sezon letni sztuką z Dzielnicy Zachodu, której bohaterem jest słynny awanturnik Buffalo Bill. Wielu Anglików jest oburzonych.

Na dalekim przedmieściu Rzymu otwarto nowy teatr. Mieści się on w klasztorze, wybudowanym w 1818 roku.

Sztuka

4 czerwca otwarto w Warszawie II Międzynarodowe Biennale Plakatu. Zgromadzono 617 afisz 343 autorów z 34 krajów. W tym samym dniu otwarto w Wielu Anglików jest oburzonych.

W Kordęgardzie Łazienkowskiej odbyła się wystawa 100 fotografii ilustrujących 30 lat współpracy polsko-węgierskiej.

Z okazji 150 rocznicy urodzin Karola Marksa w Muzeum im. Puszkina w Moskwie otwarto wystawę akwarel i rysunków jego prawnika, francuskiego peyzajzysty Fryderyka Longueta. Twórczość Longueta znana jest już rodzicom miłośnikom plastyki z wystawy, która eksponowana była w tym muzeum w 1962 roku. Utwory artysty cechuje delikatny koloryst, wyrazisty realizm, poetyckość.

W budapeszteńskim muzeum ruchu rewolucyjnego otwarto wystawę rysunków Hugo Gellerta, nawiązujących do „Kapitału” Marksa. Artysta z niezwykłą intuicją i jednocześnie realizmem ukazuje — idąc śladami myśli marksistowskiej — los klasy robotniczej w społeczeństwie kapitalistycznym. Oto wizerunek matki z umierającym z głodu dzieckiem. Kolejka zziębniętych mężczyzn czeka na przyjęcie do pracy. Hutnik, w którego oczach czai się lek przed dniem jutrzejszym, Hugo Gellert, który ostatnio obchodził 75 rocznicę swych urodzin, od przeszło pół wieku mieszka w USA.

Komitet wykonawczy UNESCO do spraw ocalenia zabytków historycznych w Nubii przyjął projekt przeniesienia na inną wyspę świątyni w Philae. Koszt przeniesienia obliczono na 2,5 miliona dolarów. Jest to już ostatni zabytek do uratowania po wybudowaniu tamy asuańskiej.

Statuetka kamienna wystawiona w tych dniach w Muzeum Przyrodniczym w Nowym Jorku jest prawdopodobnie najstarszą ze znanych rzeźb świata. Przedstawia głowę ludzka wysokości 3 cm i szerokości 3 cm i została znaleziona w Aq Kupruk w pobliżu rzeki Balkh w północnym Afganistanie przez antropologa Luisa Dupree, który w latach 1962-1965 prowadził serie badań w tym kraju. Przybliżony wiek znaleziska określa się na 22 tys. lat.

W Cannes odbyła się pierwsza poza ZSRR wystawa współczesnego malarstwa radzieckiego. Wystawiono 233 obrazów 200 artystów. Organizator francuski był w Moskwie i sam wybrał obrazy z 1500, które mu pokazano.

Do Barcelony przybył niezwykle cenny dar dla tamtejszego muzeum; 59 obrazów Picassa, nadesłanych przez samego malarza.

W sztutgarskim Stowarzyszeniu Artystycznym otwarta została niedawno wielka wystawa poświęcona 30-letniemu obłędowi nowego sztuki plastycznej lat dwudziestych i trzydziestych tzw. Bauhausu. Przeszło 2 tys. eksponatów ilustruje osiągnięcia artystów skupionych w Bauhausie w zakresie malarstwa, architektury i grafiki.

Muzyka

Wielką rolę spełnia w naszym życiu kulturalnym mecenat państwa nad twórczością artystyczną. Mecenat ten przybiera różne formy — stypendia krajowych i zagranicznych, nagród, pomocy technicznej i in. Dzięki subwencjom, których wartość przekracza milion złotych rocznie, dorobek naszej muzyki wzbogacił się o wiele dzieł, znanych dziś szeroko poza granicami kraju i wyróżnianych międzynarodowymi nagrodami. Wśród tych właśnie utworów znajdują się „Gry weneckie” i „Muzyka żałobna” W. Lutosławskiego, „Cztery esaje” i „Wariacje bez tematu” T. Bairda, „Tren pamięci ofiar Hiroszimy” K. Pendereckiego i wiele innych.

W dniach od 6 do 11 września br. odbędzie się w Bydgoszczy, Toruniu i Lubostroniu jubileuszowy, piąty z kolei Ogólnopolski Festiwal Muzyczny. Będzie on przebiegał tym razem pod znakiem muzyki kameralnej i kameralnych zespołów wykonawczych.

Operetka z Bratysławy występowała w Warszawie. Pokazano musical amerykański „Man of La Mancha” oraz operetkę Gejzy Dusika „Garncański bal”.

W maju odbył się w Szwajcarii cykl imprez poświęconych kulturze polskiej. Witold Lutosławski wygłosił kilka odczytów oraz wziął udział w seminariach muzycznych. Występowały: Filharmonia Narodowa oraz zespół „Mazowsze”.

Film

Blisko 2 miesiące podróżował po USA i Kanadzie polski zespół estradowy „Nasze przeboje”. Przeboje te prezentowali: Sława Przybylska, Jack Fedorowicz, Bogdan Łazuka, Piotr Szerepiński, duet Danuta Rinn i Bogdan Czynowski oraz zespół muzyczny Jana Nowaka. W sumie polscy artyści dali 29 występów, przede wszystkim w ośrodkach polonijnych, wszędzie spotykając się z serdecznym przyjęciem.

W Krakowie kończy się krajowy i międzynarodowy festiwal filmu. Do konkursu krajowego zgłoszono 132 filmy, do międzynarodowego 170 z 18 państw. Komisja selekcyjna dopuściła mniej więcej połowę.

W Karłowych Warach odbywa się 16 Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Polskę reprezentuje „Dancing w kwaterze Hitlera”.

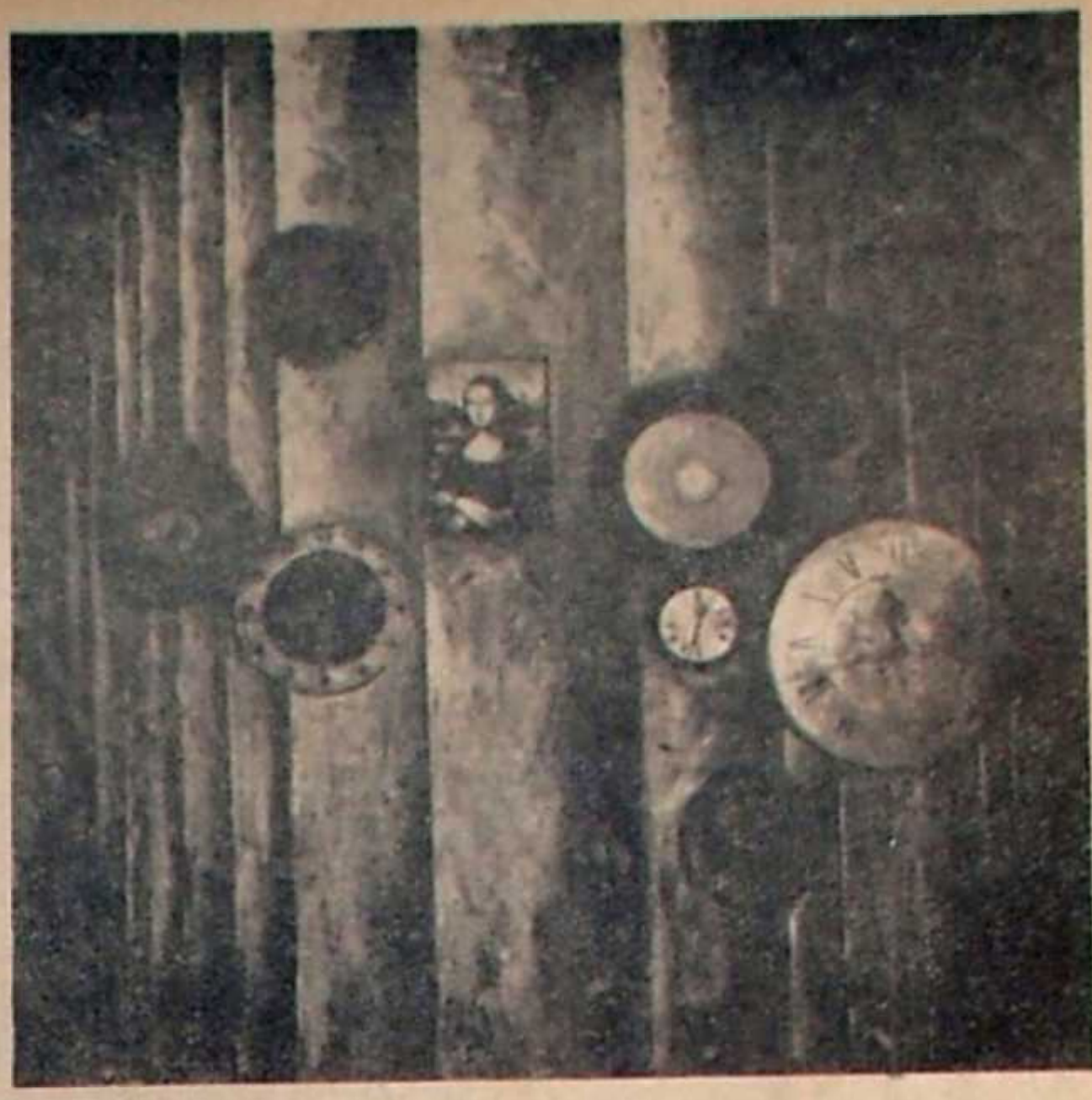
Marek Doński pisze scenariusz, który będzie poświęcony słynnemu śpiewakowi rosyjskiemu Szewcziłowowi.

Filmoteka francuska wprowadziła dział wypożyczania filmów osobom prywatnym. Chodzi głównie o dzieła klasyczne z okresu filmu niemieckiego. Wypóczenie 5 filmów niemieckich na jedną dobę kosztuje 20 franków.

Głośny reżyser filmowy, Rene Clair, przygotowuje dwie sztuki teatralne. Jedną z nich — jak powiedział — to farsa poetycka, której temat zaczerpnął ze sztuki pisarza współczesnego Szekspira.



Ta młodzieńca Amerykanka z gwiazdki robi się gwiazdą. Ma za sobą cztery filmy — ostatni „Hillbillies” — oraz serie występów w telewizji. Nazywa się Eileen O'Neil.



Notes „Kamery”

Józef Barecki

Przeciw Polsce

M INEŁO już sporo czasu od nadzwyczajnego zebrania warszawskich literatów i marcowych wypadków na wyższych uczelniach kraju. Inicjatorzy antypolskich występów zdążyli się przekonać, jak złudne były ich nadzieje. Społeczeństwo polskie jednoznacznie odrzuciło ich program i ich próby zahamowania procesu socjalistycznych przemian. Podejmując walkę z partią i z dorobkiem, który pod kierownictwem tej partii osiągnął, autorzy marcowej próby sił nie spodziewali się takiej klęski. Liczyli na rozwarstwienie społeczeństwa, a spowodowali jeszcze większą jego konsolidację. Liczyli na rozpręczenie i chaos, a spowodowali wzrost dyscypliny i zwiększenie wysiłku produkcyjnego. Chcieli osiągnąć nieufność do naszych przyjaźni, a spowodowali jeszcze większe zrozumienie realiów naszej polityki zagranicznej. Chcieli rzucić pomosty do władzy dla skompromitowanych polityków, a przyspieszyli proces odnowy kadr kierowniczych.

Atak, jaki w związku z tym skierowany został przeciw Polsce, jest szczególnego rodzaju. Wbrew oczywistym faktom, wbrew temu, co od przełomu październikowego zrealizowaliśmy w naszym kraju, pomawia się Polskę o występowanie przeciwko procesom wewnętrznym przemian w krajach socjalistycznych, o stanowisko zmierzające do utrzymania metod i praktyk starego okresu. Chodzi, oczywiście, o zaslanie nieufności w naszym społeczeństwie i poróżnienie nas z naszymi sojusznikami i przyjaciółmi.

Ta klęska miała swoje konsekwencje nie tylko w kraju. Od dłuższego czasu można było dostrzec coraz większą koordynację działania ośrodków propagandy za granicą i przystosowywanie jej do potrzeb reakcyjnych grup wewnątrz kraju. Krystalizacji sojuszu między polskimi syjonistami, resztówkami reakcji, rewizjonistami i bezobjętnymi intelektualistami towarzyszył proces konsolidacji wrociej propagandy. Współdziałanie było dobrze zsynchronizowane. Każda akcja podejmowana w kraju przeciw partii znajdowała natychmiastowe wsparcie wrogich ośrodków propagandy.

Ukoronowaniem tej kampanii kłamstw i oszczerstw jest oskarżenie Polski i narodu polskiego o antysemityzm. Dzień w dzień na falach eteru, na łamach syjonistycznej prasy, w wystąpieniach przywódców żydowskich obarcza się nasz kraj winą za zbrodnie hitlerizmu. Międzynarodowe organizacje syjonistyczne i ośrodki antypolskiej propagandy chcą w ten sposób wziąć odwet za usunięcie nacjonalistów żydowskich ze stanowisk państwowych, za konsekwentną postawę Polski wobec agresji izraelskiej na Bliskim Wschodzie (właśnie przypada rocznica tej agresji), chcą spełnić jednocześnie swoją powinność wobec amerykańskiego imperializmu i zachodniemieckich kół odwetowych.

W marcu okazało się, że było to budowanie zamków na lodzie.

Wiele celów przewidywało organizatorom antypolskiej kampanii. Nie osiągnęli żadnego, nie powiodła się próba zafałszowania obrazu Polski w świadomości zagranicznej opinii publicznej.

W działalności ośrodków wrociej propagandy nastąpiły szybkie zmiany. Rozpoczęła się kampania oczerniania Polski, totalny atak na nasz naród, nasz kraj, naszą historię i kulturę. Tym razem zatarły się granice między poszczególnymi rozgłośniami, zniknęła ich specyfika, podział zadań. „Wolna Europa” upodobiła się do „Jewish Chronicle”. Kłamstwa, które padały z trybuny parlamentu izraelskiego, powtarzał na wiecu wyborczym Robert Kennedy.

Nie istnieją żadne powody, aby ronić łzy, kiedy w Polsce następują zmiany polegające na usuwaniu z wysokich stanowisk różnych pozornych „liberałów” zapisanych w pamięci polskiej jako sprawcy wielu przekroczeń w tzw. okresie minionym — pisze jedno z największych pism Polonii Amerykańskiej „Dziennik Chicagowski”.

Głównym celem tej kampanii było wywołanie wrażenia, że klęska inspiratorów wypadków marcowych oznacza zwycięstwo sił konserwatywnych w Polsce. Kosmopolici i wczorajsi stalinowscy zamordcy przedstawiani są przez radio „Izrael” i radio „Wolna Europa” jako najwięksi liberalowie, najwięksi polscy patrioci i najwięksi polscy uczeni. Ta obliczona na łatwouwiernych mistyfikacja, przeznaczona jest nie tylko dla słuchaczy w kraju (bo oni dobrze wiedzą, jakimi patriotami są np. Bauerman czy Wygodzki, którzy stali się obywatelami Izraela, znają liberalizm Brusa czy Staszewskiego z okresu ich nieograniczonej władzy, a uczoność niektórych profesorów z dziwnego przebiegu ich karier, odbywanych w myśl strawestowanego wojskowego hasła: nie matura lecz chęć szczerca, zrobia z ciebie profesora), ale dla słuchaczy zagranicznych. Miała ona służyć organizowaniu międzynarodowego poparcia dla usuniętych i akcji protestacyjnej wobec polityki naszego rządu.

Takich głosów można przytaczać wiele. Polonia zagraniczna, mimo że wielu reakcyjnych przywódców sprzymierzyło się z syjonistycznymi organizacjami, umie odróżnić prawdę od kłamstw. Mistyfikacje od rzeczywistości.

Kampania stanowiła jednocześnie element szerszego nurtu. Ze stwierdzenia, że w Polsce zwalcza się liberalne prądy i dyskryminuje wolenników liberalizmu nietrudno wysnuć następny wniosek, stawiający w specyficznym świetle naszą politykę zagraniczną, nasz stosunek do przemian zachodzących w sojusznikich krajach socjalistycznych.

Podobnie jest z poważną prasą zachodnią. Niedawno odwiedził Polskę wysłannik wielkiego szwedzkiego dziennika „Svenska Dagbladet”. Z. Lundquist polecił specjalnie do Poznania, by przeprowadzić rozmowę z robotnikami Zakładów „Cegielni”, przypominając wydarzenia czerwcowe z 1956 r. Lundquist pisze, że od tego czasu nastroje wśród polonajskich robotników bardzo się zmieniły, według ich zdania ostatnie 10 lat to wielki postęp w Polsce, rozwój dobrobytu, rozwój aktywności klasy robotniczej. Robotnicy wyrażają zgodną opinię, że przyjaźń i współpraca z ZSRR — to żywotna konieczność Polski. Autor odnotowuje krytyczne stanowisko robotników wobec zaburzeń młodzieżowych i stwierdza, że wszyscy jego rozmówcy dawali wyraz sympatii dla Władysława Gomułka. Czego potrzebujemy — powiedział — to nie opozycji. Lecz jednoci narodu i dalszego rozwoju gospodarczego kraju.

Partia ma w tej sprawie określone, wyraźne stanowisko. Uważa ona, że każda partia komunistyczna i każdy kraj socjalistyczny mają pełne prawo do samodzielnego decydowania o swojej polityce, o swoim rozwoju, zgodnie z potrzebami swojego narodu. Ale partia nasza stoi też na stanowisku, że narodowe cele nie mogą osłabie jedności państw socjalistycznych czy współdziałania partii komunistycznych w polityce międzynarodowej.

Trzeba jednak przyznać, że propaganda syjonistyczna pobudziła w niektórych redakcjach zachodnich nadmierne nadzieje. Zjawili się w naszym kraju ludzie przekonani, że zbiorą materiał do sensacyjnych, mrojących krew w żyłach reportaży.

Oczywiście, takie stanowisko uderza w plany tych ośrodków imperializmu, które starają się wykorzystać elementy nacjonalizmu czy nierównomiernego przebiegania procesów wewnętrznej odnowy dla rozbięcia jedności wspólnoty socjalistycznej, skłócenia i rozniekierzenia świata socjalistycznego.

Przyjechał niedawno do Warszawy nowojorski krytyk, A. Popkin, po czym napisał wielki artykuł o sytuacji w Polsce. Jego kwintesencja zawarta została w takim zdaniu: Jedno mnie zaskoczyło. Wbrew temu, czego się spodziewałem, mogłem się zobaczyć z każdym, kogo normalnie odwiedzałem podczas przyjazdu do Warszawy. W rezultacie tego Popkin (nie mylić z Papkinem) robi niespodziewane odkrycia i pisze, że Dejmek dalej jest reżyserem w Teatrze Narodowym, że życie teatralne toczy się normalnym torem, że Polacy są poważni i że termin stalinowski jest w nielase.

Antypolska kampania chybiła celu. Nie ludźmi się jednak, że osłabnie jej natężenie, zmniejszy się zalew kłamstw. Polska, ze względu na swą pokorę, w głęboko humanistyczna politykę, nadal będzie obiektem ataków tych wszystkich kół, które chcą by wprowadzić do stosunków międzynarodowych prawa dzungli. Ale wiemy, że kampania ta nie jest w stanie zaszkodzić dobremu imieniu Polski i zahamować procesu przeobrażeń socjalistycznych.



**T**AKSOWKARZ przekonuje mnie coraz bardziej energicznie, gdy niby wspaniałomyślnym gestem usiłuję zapłacić mu 30 groszy więcej niż wskazał licznik. — Płaci się podwójnie, bo za powrót też. Azoty wcale nie leżą w Puławach, to tylko tak się mówi. Proszę, oto urzędowa taryfa: Zakłady Azotowe znajdują się poza granicami miasta.

Płacić więc 23 zł zamiast 11,30 zł i nie bez satysfakcji myślę o rozmowie z naszym głównym księgowym, człowiekiem uroczym, ale drobiazgowym. Jak go przekonam, nie mając przy sobie owej urzędowej taryfy? Jest przecież piękny dzień majowy, może sobie pomyśleć takie różne rzeczy...

Ale oto stoję już na piętrze dużej, jasnej hali. Chwilami zdaje mi się, że ciężki dach zawali się, bo wygląda na to, że wsparty jest tylko na wielkich sztybach świetlików. Niepokojące wrażenie potęguje się, gdy patrząc na szczytową ścianę, wzdłuż której rozciągają się złote ramiona potężnej suwnicy. Potężnej, bo czerwony napis głosi: udźwignij do 30 ton, ramię pomocnicze do 5 ton. Oprawdzający mnie inżynier uspokaja:

— Nie się nie stanie, nawet jak suwnica dźwignie te swoje 30 ton. Wszystko tu dokładnie obliczone...

Mówi coś jeszcze pokazując na smukłe konstrukcje stalowe, ale nie słyszę. Od chwili, gdy zacząłem zbliżać się do montowanych właśnie linii amoniaku w Azotach II, w uszy wdziera mi się coraz większy ni to szum, ni to gwizd, pisk połączone z grzotem. Jak by sto syren alarmowych huczało w małym pokoju. Swidruje mózg niemal do bólu, skręca cały system nerwowy, dusi nie tylko głos, ale i dźwięk spadającego na żelazo młota, niemal paraliżuje mięśnie.

Zakładam wielkie, grube nauszники, w których pomiędzy wypukłą blachą a przylegającym do uszu wołokiem znajduje się warstwa dźwiękochłonna. Ilość dochodzących do mnie decybeli spada o połowę, ale i tak przekracza 50. Natomiast rozmawiać można tylko na migi. Ale tu, na montażu, owe „migi” są bardzo specyficzne, zupełnie różne od tych, jakich używamy czasem przy różnych okazjach. Chyba nie obowiązują tu żaden alfabet, ale każde skrzywienie palca, każdy ruch dionią tłumaczy się robotą, która potrwa długie minuty, nieraz całe godziny.

Stoję w pięciosobowej grupie. Inżynier coś mi pokazuje, ale nie rozumiem. A potem jest już za późno. Pięciu ludzi w oliwkowych kombinizonach schyla się, mój wzrok biegnie za ich rękami — i truchleje. Dopiero teraz orientuję się, że podłoga pierwszego piętra w całej hali to nie zwykła podłoga a stalowa kratka, w której więcej otworów niż punktów oparcia. W dodatku owa podłoga składa się z małych prostokątów, które właśnie znikają wokół mnie, odstawiane przez robotników.

Wkrótce wyglądam jak na kapitańskim mostku, ale czuję się bezradny, niemal sparalizowany. Podać mi wcale nie widać podłogi parteru, lecz jakis kłębowski rur, przewodów, zaworów przekrzywionych w najrozmaitsze strony, prostych i pokręconych kabli, trybów, przekładni i części tam jeszcze. Jedne odskazywania uciekają w dół, na parter, inne wychodzą przez wycięcia w stalowych kratkach otwory. Jak by tamary w przedziwnie konwulsyjnych ruchach i znikają w głębi potężnych korpusów różnych urządzeń. Turbosprężarka powietrzna — pisze mi na kartce inżynier Buczek, sądząc widocznie, że po tylu wizytach w Azotach znam się na tym przynajmniej dostatecznie.

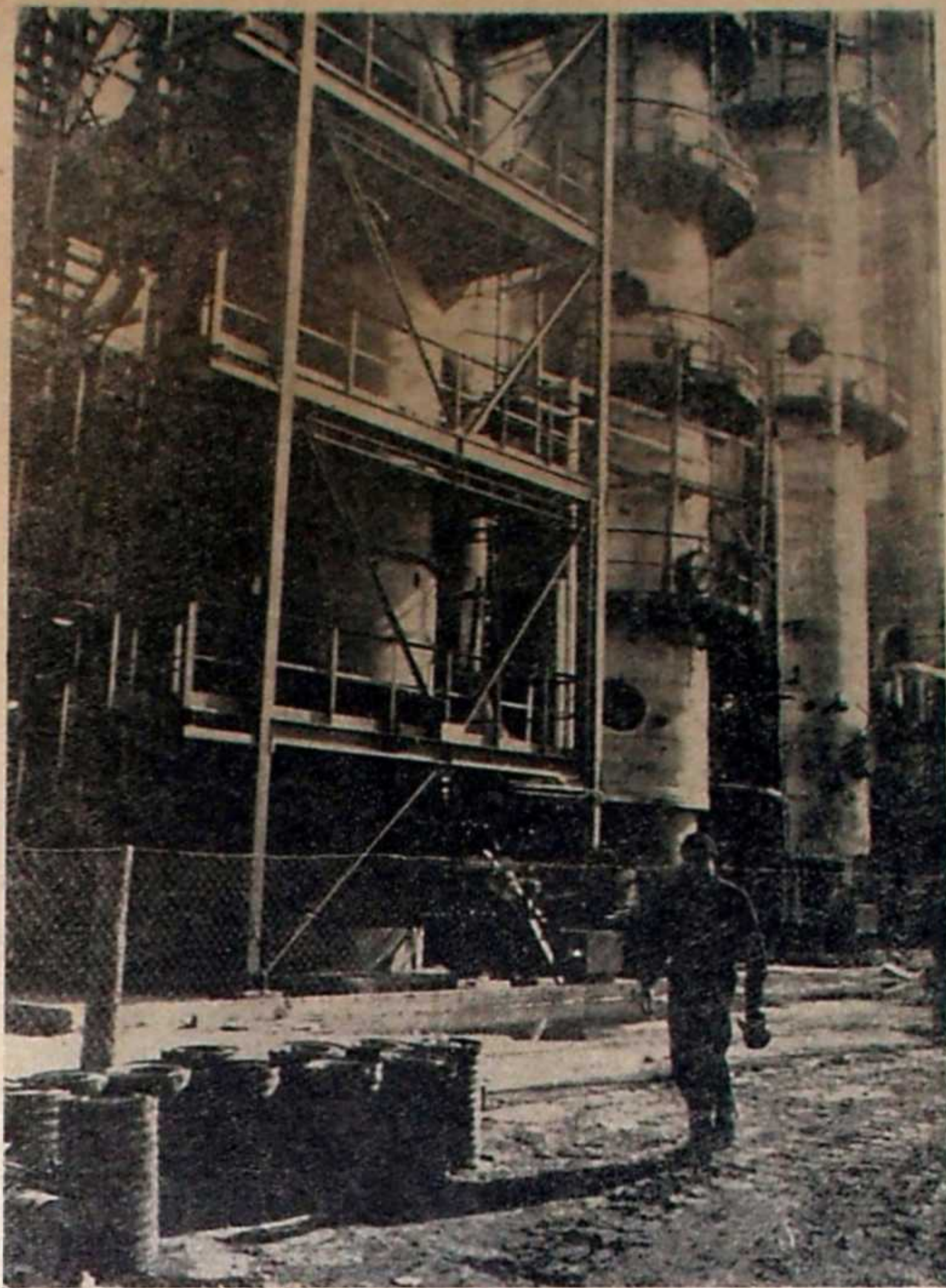
Brygadziści — jak się później dowiedziałem — Marian Zajac, ślusarz z dwudziestoletnią praktyką, który wraz z żoną i czworgiem dzieci przeniósł się do Puław z Kamienniej Góry na Dolnym Śląsku — macha palcami przed nosem najmłodszego z robotników i coś mu tam w gąszczu rur pokazuje. Potem innym. Leszek Zachaj, właśnie ten najmłodszy, jest zarazem najszybszy. Pada płackami na ową gęstwinę żelazstwa przed moimi butami, gęstą i poplątaną jak liany w dżungli i jakimś cudem wślizguje się do środka. Za nim Marczak i Kotyra, obok Kozak i Skwarek... Za chwilę widzę tylko kilka obcasów, czasem w jakiejś szczelinie palnawka jedno oko. Od czasu do czasu w pomowie znika i brygadziści, coś tam pokazuje, coś sprawdza, czasem przyniesie nowe narzędzie, odbierze już niepotrzebne.

W głowie już mi się trochę kręci, więc nieznacznie wycofuję się do tyłu, gdzie pozostawiono mi wąskie przejście. Rzucam niepewnie okiem na długi, zielony pulpity z siedmioma kołami sterowniczymi i piętnastoma aparatami ze wskaźnikami — tu potem usiądzie ktoś, kto jednym ruchem ręki będzie kierował pracą tych skomplikowanych urządzeń. Czytam kilka napisów przy wskaźnikach: para przed zaworem odciążającym — para za filtrem — impulsy — reakcja pi... Aby cała ta skomplikowana maszynaria dobrze pracowała, aby nadzór nad jej pracą był skuteczną, właśnie teraz, przy montażu, trzeba tak ciężko i dokładnie pracować.

Mimo nauszników nie mogę już dłużej walczyć z falą zalewających mnie decybeli. Chronię się w dźwiękochłonnej kabinie telefonicznej, ale i tu dociera jeszcze przynajmniej 30 decybeli.

Gdzieś spod turbosprężarki wychylna jasna czupryna Leszka. Zapraszam go do kabiny. Ma lat 18, jest członkiem ZMS. Urodził się w Hąbolicach, zna doskonale historię partyzanckiej bitwy, która tam stoczyły oddziały Gwardii Ludowej. Skończył szkołę zawodową w Kadmierz, potem półroczny staż w Azotach I, teraz właśnie startuje jako już dorosły, niemal samodzielny pracownik. Niemal — bo uczy się lakonicznie od starszych kolegów, o dziesiątki szczegółów pyta kierującego brygadziście. Starszy brat skończył szkołę mechanizacji rolnictwa, ale pracuje w lubelskiej PSC. Ojciec gospodaruje na dwóch hektarach, dwa młodsi bracia jeszcze się ucza.

Wychodząc z inżynierem Buczkiem z hali mijamy na parterze jakąś niepozorną maszynę. Inżynier rzuca na nią złym okiem i krzyczy mi do ucha: to przez nią tak szumi. Ładnie mi tylko „szumi” — myślę sobie, zakrywając uszy płaszczem. Kiedy mineliśmy szereg stojących na wolnym powietrzu urządzeń i kilka zakrętów estakad, podtrzymujących wielkie rury, i weszliśmy do następnej hali, gdzie montuje się druga z kolei w Azotach linia amoniaku — cały ten potworny szum-ogromny-gwizd żelaza. Można już jakoś rozsądnie rozmawiać. Pytam więc:



Fot. Janusz Urban

# AZOTY II

Jerzy Dostalni

— Niech mi pan wytłumaczy, co to takiego jest, skąd się bierze i jak długo potrwa? Przecież tu można zwariować!

— Eee, zwariować nie tak łatwo — zapewnia inżynier. — Chociaż dokuczliwe cholernie i właściwie rady na to nie ma żadnej. Ta linia jest już w rozruchu technologicznym. Więc przez instalacje przechodzi metan, powietrze, para, odbywają się różne konwersje, reakcje, aby wreszcie wytworzył się ten amoniak. Ale to tu, to tam coś się zdarza — ujawni się nieszczelność, da znać o sobie zła jakość materiału, jakaś niedokładność w robocie.

— A więc i to się zdarza? — Oczywiście, przecież tu pracują ludzie a nie cudotwórcy, nieraz bez przerwy po 12 godzin. A redaktorowi nigdy nie zdarzyło się napisać brytanian zamiast brytanina? — docina mi inżynier. — Ale jak coś gdzieś nawali nie można zatrzymywać całego rozruchu, tylko tę część za awarią. No i zamiast na końcu zgromadzić amoniak, musimy gdzieś przed uszkodzonym miejscem wszystko wypuścić w powietrze. Na godzinę wylatuje około 40 tysięcy metrów sześciennych mieszaniny powietrza, pary i metanu. Tego ostatniego zresztą najmniej, pary jest 20 ton, powietrze wylatuje pod ciśnieniem 30 atmosfer. Jedynym wyjściem najszybsze usunięcie awarii lub dokończenie całego rozruchu. Ale to nie takie proste. Rozruch trwa już od 27 grudnia i chyba każdego dnia się skończy.

W drugiej hali trwa jeszcze montaż, rozruch mechaniczny rozpocznie się gdzieś w czerwcu. Gestwina rur nie jest tak intensywna jak w pierwszej hali, ale wszystkie zasadnicze urządzenia są już na miejscu. Chodzę znowu po tej kratowanej podłodze i podejrzliwie patrzę na jakiegoś stalowego smarka, z którego otworów w kilku miejscach sika ludzkie nogi. To dziesięciosobowa brygada Mariana Godziszewskiego montuje olbrzymi kompresor. Całe to żelazto kosztuje 10 milionów złotych. Z fabryki przychodzi w całości i tak zostaje zamontowane przy pomocy suwnicy, która i tutaj gorąco nad halą. Poczatkowo nie bardzo rozumiem, dlaczego po zamontowaniu trzeba cały kompresor rozebrać na części i znów montować. Okazuje się, że w czasie transportu z fabryki coś może uszkodzić się wewnątrz, a zawsze do środka dostaje się kurz. Trzeba więc dokładnie spenetrować wnętrze, wyczyć, nasmarować, tak samo prowadzące do kompresora przewody. Przy pierwszym kompresorze pracowano 45 dni, ten będzie gotowy po 25 dniach.

Trochę grubszą od innych Aleksander Witenberg, jeden z najlepszych fachowców, nie mieści się w żadnym otworze. Ogląda pod światło cienitłude sprężynki, aż się wierzyć nie chce, że w tym olbrzymim kompresorze są one niezbędne. Podobnie jak malutkie, miedziane płytki, przypominające obcięte z boku półksiężyce. Dla mnie każda następna wygląda idealnie tak samo jak poprzednia, ale rozkładający je na regale robotnicy widzą jakieś różnice i układają je w odpowiedniej kolejności.

Starszy mistrz wydziału kompresorowni, Czesław Biszczanik, biegnie jak opętany — raz jest na piętrze hali, raz na parterze, potem w małym pokoiku o nieofornym, chyba zbyt małym okienku i dyktuje listę

potrzebnych na gwałt — jak zwykle — części i narzędzi. Od czasu do czasu załatwia jakieś telefony, odpowiada wsuwającym się przez półotwarte drzwi głowom, komuś podpisuje wniosek o przyjęcie dziecka do przedszkola.

— Zawór przelotowy zaworu atmosferycznego, z takim, wie pan, paluszkiem — krzyczy z irytacją w telefon.

Na stole grube tomisko z angielskim napisem „Instructions and parts list type HIE Compressor”. To instrukcja, która przysłała razem z zakupionymi w Anglii instalacjami amoniaku. Jest i wykonane w zakładach tłumaczenie. Tylko z rysunkami kłopot, bo to raczej schematy niż rysunki techniczne, brak wymiarów i różnych szczegółów. To stwarza dodatkowe kłopoty.

Mistrz Biszczanik tylko z tytułu nazywa się starszy, w rzeczywistości tryska energią i młodocia. Rodowity lublinianin, pracował, oczywiście, w FSC, w narzędziowni. Ukończył technikum wieczorowe. W FSC też miał do czynienia z kompresorami, ale takimi liliputami, zaledwie po 3 do 5 atmosfer. Te w Puławach sprężają do 300 atmosfer. Prawdziwe cyklopy. Tu pracuje już trzeci rok. Twierdzi, że kompresory włoskie na trzech pierwszych liniach są lepsze, ale jak będzie z całą linią to się dopiero okaże. Czyżona narzeka, że uczy się po nocach, że przychodzi późno? Trochę, ale sama pracuje jako technik w Azotach, skończyła technikum chemiczne w Lublinie, więc doskonale rozumie, że teraz inaczej nie można. Odpocznie sobie — trochę to trzeba napisać w cudzysłowie — gdy wszystko ruszy normalnie.

— No i nie chcemy wstydzić się przed kolegami z innych wydziałów — dodaje — oraz własnym sumieniem. Ten kompresor brygada Godziszewskiego zobowiązała się wykonać o jeszcze trzy dni krócej. To zresztą jedno z naszych wielu zobowiązań. Razem załoga zakładów dla uczczenia V Zjazdu partii podjęła zobowiązania wartości 96 milionów zł. Co czwarty pracownik jest członkiem partii, na początku kwietnia towarzyszy Władysław Kozdra wręczał u nas tysięczną legitymację. Zaeszły rok zdobyliśmy trzecie miejsce w kraju w przemyśle azotowym — za Kędzierzynem i Oświęcimem, a przed takimi doświadczonymi fabrykami jak Chorzów, Tarnów czy Białochwała. A teraz mamy większe apetyty...

Na schodach jeszcze raz spotykam brygadziście Godziszewskiego. Wychodzimy na chwilę przed halę odetchnąć świeżym powietrzem. Od pobliskiego lasu ciągną już pierwsze zapachy żywicy.

Brygadziści przeprowadził się z Lublina, bo mieszkał w ruderze na Kallnowszczyźnie i nie mógł jakoś dostać lepszego mieszkania. Powiada, że w FSC robota była bardziej prosta, ale za to wymagająca jeszcze większej precyzji. Przy montażu pierwszego kompresora tylko patrzył, teraz już uczy innych, ba — ma w jednym palcu

mechanikę całej linii. Teraz montuje, potem będzie pracował przy remontach już jako najwyższej klasy specjalista. Gdy dźwignie się, że tak szybko zdołał opanować nowe zagadnienia, co potwierdzają z naciskiem jego przełożeni, powiada:

— Uczyć się trzeba, bo bez tego nie będzie. Ale poza tym trzeba mieć złybę. No i chęć. U mnie cała brygada tak: Witenberg, Sobich, Nowak, Szymonowski, Feledyn, Czarnoból...

Wracam do biura kierownictwa Zakładu Amoniak II. Uliczki są wyłożone płytami, obramowane krawężnikami, jedynie asfaltowane — mimo że roboty jeszcze trwają. Mimo? No tak, bo na wielu poprzednich budowach najpierw wznoszono obiekty, potem uruchamiano produkcję, a o drogach i chodnikach zapomniano. Nauczylimy się już, że to się nie opłaca, nie mówiąc o wygodzie ludzi. Znowu przechodzę koło tego zaworu, gdzie powstaje ów szum-ogromny-gwizd, zasłaniam uszy i chronię się w pokój kierownika technicznego, mgr Stanisława Szupiluka. Znowu musimy krzyknąć, nieraz powtarzać całe zdania.

— Jak pan może pracować w takim hałku? Przecież tu jest chyba ponad 100 decybeli?

— A jest — odkrzykuje, patrząc trochę nienawistnie na trzęsącą się od gwałtownych fal powietrza szybę. — Ale mam uciekać, czy co?

— Jak usuniecie awarię to przestanie. Ale kiedy?

— Diabli wiedzą. To już pewnie siódmy rozruch całej linii i znów nie wychodzi. A wie pan co? Tak prywatnie wielu ludzi u nas uważa, że co z Anglii, to musi być najwyższej jakości. U nas okazuje się, że wcale tak nie jest. W tych angielskich urządzeniach wdaję wykrywamy różne nieszczelności, nieprawidłowości, a nawet błędy. — No, bądźmy bardziej konkretni — zachęcam.

— Może tylko dwa przykłady — zgadza się magister, spoglądając znacząco na zegarek. — Błędnie były obliczone wymiarki ciepła w sekcji utylizacji ciepła na konwersji metanu. W rezultacie powstawały różnice do stu stopni Celsjusza, co groziło zniszczeniem instalacji, bądź nawet całej turbiny. Albo taki błąd, który chyba można — przynajmniej według nas — zaliczyć do szkolnych. Tu przepraszam za techniczne określenie, ale inaczej nie można. Konstrukcja generatora w układzie tnycia potasowego była zła. Króciec ssawny do pompy był zamontowany zbyt wysoko i pompa w ogóle nie mogła zassać lugu potasowego. Musieliśmy rozciąć część płaszczu regeneratora. To taki olbrzymi walec na trzydzieści metrów wysokości. Najlepsi fachowcy z Mostostalu pracowali nad tym 8 dni, wieszając dwadzieścia metrów nad ziemią.

Mgr Szupiluk ucieka do jakiejś pilnej roboty, a ja wychodzę z inż. Edwardem Buczkiem, tym samym, który oprowadzał mnie na początku. Znamy się od zamierzonych — licząc według listnienia puławskich Azotów — czasów. Gdzieś od początku 1962 r., gdy dopiero tworzyło się pierwsze biuro. Inżynier jest trzydziestym siódmym z kolei pracownikiem Azotów. Kieruje zakładem, który oficjalnie nazywa się remontowym, a w rzeczywistości teraz zajmuje się montażem. Pochodził spod Puław, skończył technikum elektryczne w Lublinie, potem Politechnikę Wrocławską i natychmiast gdy tylko roznosiła się wieść o budowie fabryki, wrócił w rodzinne strony.

W bramie wyjściowej straż przemysłowa, cała w spódnicach, ogląda mnie dyskretnie a uważnie. Dostaje burę za brak jakiejś pieczątki, przechodzę, ale kątem oka widzę, jak pani komendant chwytą za telefon. Więc celowo wolnym krokiem defiluję przed długim rzędem autobusów, które czekają na pracowników kończącej się właśnie zmiany. Co to za odległe czasy sprzed pięciu, czy chociażby czterech lat, gdy nie dla wszystkich starczało miejsca w zabrudzonych samochodach ciężarowych, utykających często w olbrzymich wybojach. Teraz wszyscy siedzimy wygodnie, przed nami gładki jak szkło asfalt. Wzdłuż drogi na niższej, zaledwie półmetrowej estakadzie wielki rurociąg. Tędy popłynę nadmiar pary wodnej, która musi powstawać przy produkcji nawozów. Ogrzeje najpierw mieszkania nowych osiedli — Wróblewskiego, 22 Lipca, A-1 i A-2 — potem kolejno wszystkie dzielnice nowych i starych Puław. Miasta, w którym ludzi z żyłką do uczciwej, dobrej roboty można już liczyć na tysiące.

Zakłady Azotowe dały już krajowi prawie pół miliona ton mocznika i saletry amonowej. Wkrótce produkcja na dobre osiągnie 6 tysięcy ton. A trzeba się spieszyć, zwłaszcza z liniami amoniaku, bo tego półproduktu najbardziej brakuje. Trzeba się jeszcze ratować importem, ale to droga kosztuje i nie zawsze dostawy są punktualne. Z tego powodu powstały nawet pewne zaletności, ale są pełne szanse odrobienia ich do 30 czerwca. A data to ważna, bo ze względu na potrzeby rolnictwa ten dzień właśnie rozlicza się jako termin końcowy produkcji. Aby potem zacząć od początku...

— Niech pan trzyma razem z nami kciuki, ale mocno — agituję mnie dyrektor naczelny, Mieczysław Kolodziej. Magister inżynier z wykształcenia, humanista z przekonania i życiowej praktyki, fotografik z prywatnych zainteresowań, miłośnik piękna z wewnętrznej potrzeby. Z równą energią dobija się do połowy ministerstw w sprawie dostaw urządzeń i surowców, jak do drugiej połowy w sprawie budowy ośrodka wczasowego dla załogi, urządzenia pleneru plastyków, szybszego zakończenia szkoły i biblioteki czy wywalczenia trzydziestomilionowej dotacji dla UMCS na budowę gmachu dla Wydziału Wielkiej Chemii. Wydał kilkanaście miliardów na budowę Zakładów Azotowych w Puławach, miliard w zeszłym roku zwrócił już jeden miliard dwieście milionów — taka była wartość produkcji. Równocześnie jednak wydał dwa miliardy na dalsze inwestycje, ale te proporcje już teraz będą zmieniały się bardzo szybko.

Trzymam więc mocno kciuki. Za montaż, rozruch i produkcję. Za tysiące pracowników, z których każdy dokłada się do owych 96 milionów złotych zobowiązań.



Maria Gąsczyk

**I**NICJATYWA powstania wiejskich izb pamiętek zrodziła się w związku z obchodami 1000-lecia Państwa Polskiego i miała na celu upowszechnienie i zwrócenie uwagi społeczeństwa na postępowe tradycje historyczne i dorobek naszego narodu wypracowany na przestrzeni dziejów. Najważniejsze zadanie to pomoc w wychowaniu obywateli i młodzieży w duchu patriotyzmu, miłości do regionu i dumy ze swego środowiska. Główny nacisk w organizowaniu wiejskich izb pamiętek kładzie się na problematykę czasów najnowszych, gdyż w tej dziedzinie istnieją praktycznie największe szanse na zebranie materiału poglądowego, oraz ze względu na to, że dzieje te zawierają ważne treści ideowo-polityczne.

Celem wiejskich izb pamiętek jest gromadzenie materiałów z zakresu historii, kultury ludowej, archeologii, numizmatyki, związanych z daną miejscowością, oraz opracowywanie pozyskanych materiałów i udostępnianie ich ogółowi społeczeństwa.

Inicjatywa zorganizowania wiejskich izb pamiętek leży zarówno w gestii terenowych działaczy społeczno-kulturalnych jak i w rękach organizacji i instytucji powiatowych, takich jak: towarzystwa regionalne, muzea regionalne, powiatowe domy kultury i powiatowe biblioteki, inspektoraty oświaty. Dużym oparciem dla „gospodarzy” (w większości izb są to pracownicy domów kultury, bibliotekarze, miejscowi działacze społeczni, regionaliści), szczególnie w pracach penetrujących w terenie, jest pomoc nauczyciela, współpraca ze szkołą, harcerstwem, ZMS, ZMW, ZBoWiD-em i innymi organizacjami społecznymi. Założenie izby pamiętek to duży wysiłek, trudny do zrealizowania siłami jednej osoby, dlatego akcja ta wymaga powołania komitetu organizacyjnego WIP. W skład komitetu wchodzi działacze bezpośrednio tą ideą zainteresowani z danej miejscowości, zbieracze, których zadaniem jest kompletowanie materiału, a także osoby, które zapewnią warunki organizacyjno-techniczne nowej placówki (np. przedstawiciele PGRN, KG PZPR). Powodzenie tej akcji zależy przede wszystkim od zaangażowania władz terenowych, stąd wpływa konieczność szerszego propagowania założeń i celów WIP przez powiatowe placówki kultury w terenie.

Stronę finansową organizowanym WIP zapewniają: Wydział Kultury Prezydium WRN, który był inicjatorem tej cennej akcji, PPRN, rządziej GRN. Właściwym organizatorem WIP są wydziały kultury PPRN, które rozwiązują sprawę realizacji izb w oparciu o swoje instytucje (muzea, PDK, biblioteki).

Jaka jest rola muzeów w organizowaniu wiejskich izb pamiętek? Muzeum Okręgowe w Lublinie oraz muzea regionalne sprawują opiekę merytoryczną. Praca ta sprowadza się do udzielania konsultacji organizatorom izb. Razem z pracownikami Archiwum Wojewódzkiego w Lublinie pracownicy Muzeum Okręgowego przygotowują konsultacje zbiorowe, które polegają na wskazaniu metod wyszukiwania dokumentów. Udzielają konsultacji indywidualnych opiekunom izb, wskazują instytucje i placówki naukowe, w których można uzyskać wiadomości dotyczące historii wsi, biorą udział w zebraniach organizacyjnych izb w terenie.

Nadzór merytoryczny wykonywany przez pracowników muzeów obejmuje również klasyfikację zebranych pamiętek. Muzea zabezpieczają także merytoryczną pomoc przy ekspozycji, oraz w trakcie opracowania scenariusza. Muzealnicy udzielają wytycznych informacji dotyczących prawidłowego inwentaryzowania i przechowywania zbiorów WIP, podkreślając konieczność opisanego dokumentu. Organizując izby pamiętek pracownicy muzeów głębiej poznają historię poszczególnych miejscowości Lubelszczyzny, odkrywają nieznane zabytki kultury ludowej, nazwiska twórców ludowych itp. Rola muzeów sprowadza się nie tylko do organizacji i nadzoru merytorycznego powstających izb pamiętek, ale również do stałego nadzoru już istniejących. Dokonywana jest kontrola stanu zbiorów w istniejących izbach, pomoc nad dalszym rozwijaniem zbiorów, dokształcanie ich opiekunów i sugerowanie

im prowadzenia pracy oświatowej w izbach (organizowanie np. wieczorów wspomnień, spotkań z działaczami społecznymi, ludźmi sztuki, twórcami ludowymi itp).

W większości izb końcowy etap — eksponowanie zbiorów — poprzedza opracowanie kroniki historycznej miejscowości i okolicy. Kronika ta jest najczęściej syntezą najważniejszych wydarzeń historycznych na przestrzeni dziejów. Oprócz pierwszych wzmianek historycznych o powstaniu miejscowości i wydarzeniach politycznych w poszczególnych wiekach, dużo uwagi poświęca się powstaniu i historii przetrwania obiektów zabytkowych. Omawiając w kronice dobrotek miejscowości w XX-leciu PRL wyszczególnia się powstałe obiekty, takie jak szpitale, szkoły, księgarnie, ośrodki zdrowia itp. Pamiętniki mieszkańców, życiorysy twórców ludowych, portrety, wspomnienia partyzantów, działaczy ludowych — gromadzone są do tzw. „tek archiwalnych”. Bardziej reprezentatywny materiał wprowadzony jest do ekspozycji, podobnie jak dokumenty i realia. Zasadniczy materiał zebrany w toku prac poszukiwawczych stanowią różnorodne dokumenty i pamiętniki.

Od chwili podjęcia akcji organizowania wiejskich izb pamiętek w r. 1965 powstało ich na Lubelszczyźnie około 28. Dla przykładu scharakteryzujmy zbiory historyczne kilku z nich. W Siedliszczu w pow. chełmskim izba pamiętek zorganizowana została przy Liceum Ogólnokształcącym, opiekunem jest nauczyciel historii. Dział historyczny podzielono na zagadnienia przejrzyste informujące o bogatej przeszłości miejscowości. Ukazany został udział siedliszczan w powstaniu styczniowym (zdjęcia uczestników powstania). Materiał okupacyjny 1939-44 zawiera m.in. relacje świadków ważnych wydarzeń w tym okresie. Okres pierwszych lat istnienia Polski Ludowej obrazują zwiedzającym zdjęcia i dokumenty pierwszej Gminnej Rady i jej zarządzenia. W formie materiału ikonograficznego eksponowano przeobrażenia osady w okresie XX-lecia PRL i sylwetki zasłużonych działaczy Siedliszcza.

Izba w Baranowie w pow. puławskim zorganizowana jest przy Gromadzkiej Bibliotece, jej opiekunem jest bibliotekarka. W dziale historycznym wyodrębnione są poszczególne tematy. Historię zamierzonych czasów Baranowa pokazują: fotokopia aktu erekcyjnego oraz księga grodzka miasta z XVII w. Ruch rewolucyjny 1905-7 r. pokazano w formie relacji, okupację hitlerowską przypomina lista z nazwiskami rozstrzelanych i wywiezionych do obozów koncentracyjnych mieszkańców tej osady. O działalności PPR na tym terenie mówią relacje i zdjęcia jej organizatorów (Wł. Moskaluka i H. Stachurskiego). W gablotach znajdują się osobiste pamiętniki dowódcy „Wilka” (Wł. Sienkiewicza), jego ordery, wykaz dokumentów GL, AL, AK znajdujących się w archiwach i Krzyż Grunwaldu II klasy przyznany wsi Pogonów z oryginalnym piśmem KRN, oryginalna prasa podziemna, np. „Gwardzista”.

Izba w Przybysławicach w pow. puławskim mieści się w domu kultury przy cukrowni „Garbów”. Dział historii zawiera dokumenty z przeszłości Garbowa i okolic, okres międzywojenny ukazany jest m.in. w postaci relacji złożonych przez działaczy Zjednoczenia Lewicy Chłopskiej „Samopomoc” i KPP. Szczególnie bogaty materiał dotyczy walki zbrojnej z okupantem hitlerowskim. Nazwiska takich działaczy PPR jak: Józefa Tomasiaka — Kom. Pow. GL i AL — Puławy Północ, Stefana Kamińskiego — sekretarza KP PPR — Puławy; nazwiska żołnierzy oddziału partyzanckiego AL „Maćka” (J. Wójtowicza) eksponowane są z podaniem zasług organizacyjnych i bojowych tych ludzi. Poza tym pokazano oryginalne zdjęcia i dokumenty mieszkańców tej osady — żołnierzy Odrodzonego Wojska Polskiego, uczestniczących w walkach o wyzwolenie zachodnich ziem Polski, w bojach z bandami UPA na terenach woj. lubelskiego i rzeszowskiego. Znajdują się tam również relacje i zdjęcia ludzi — organizatorów tajnego nauczania w okresie okupacji, zdjęcie zasłużonego dla tej miejscowości kierownika miejscowej szkoły, Gietki. Osiągnięcia PRL w XX-leciu to nowe obiekty np. szkoła Tysiąclecia.

**T**RUDNO ustalić typowy schemat dla samorzutnie powstających w województwie lubelskim izb pamiętek. Niektóre tworzy potrzeba chwili, niektóre przekształcają się z kolekcji prywatnych, jedne z małych zbiorów szkolnych, inne pod dyktando muzeów regionalnych.

Muzeum Dawnego Kupiectwa Śląskiego w Świdnicy zaczęło się organizować z inicjatywy miejscowych nauczycieli. Dział jest drugą tego typu placówką w Europie. U podstaw międzynarodowego biennale ekslibrisu współczesnego w Malborku leżą zainteresowania Bogny i Wojciecha Jakubowskich. Obecnie jest to jedna z najważniejszych imprez w kraju, a także wysoko oceniana w świecie. Ale wróćmy na teren Lubelszczyzny.

To było jeszcze kilka lat temu, zanim odremontowano spalony w czasie działań wojennych dworek w Romanowie. Kierownik domu kultury we Włodawie, Wacław Czech, zaczął gromadzić pamiętniki po Kraszewskim. Do jego niejako prywatnego zainteresowania dołączyły się inicjatywy popowiatowe i powstało ciekawe muzeum biograficzne. Niedużo w nim pamiętek po Kraszewskim, bo jakże dziś zebrać przedmioty, które autor „Starej baśni” używał więcej niż przed 70 laty i skoro przez świat przewalają się dwie burzliwe wojny. Niemniej muzeum jest interesujące.

W końcu lat pięćdziesiątych działacze z Lubartowa zabiegali o utworzenie muzeum. Zebrali trochę eksponatów etnograficznych, archeologicznych, trochę monet, starych ksiąg, lokalnych pamiętek. W Lublinie zbior ten oceniano sceptycznie, co nie przyspieszało decyzji o powołaniu muzeum regionalnego. Ale zapał lubartowian przypadł w postaci przekazania na cele muzeum całego domu ofiarowanego przez miejscowego weterynarza sprawiły, że obecnie Lubartów ma swoje regionalne muzeum.

Na długo przed popularyzowaną ideą tworzenia izb pamiętek radzyscy harcerze ze szczerą „Weszel” zaczęli zbierać stare przedmioty, monety i banknoty. Zgromadzone bardzo ciekawy zestaw różnych rzeczy. Znajdują się obecnie w hallu szkoły w gablotach stare siekiery z kamienia, ozdoby sprzed wielu setek lat wykopane gdzieś na polach, odznaki, nie używane już dziś sprzęt rolniczy, książki.

W Janowie Podlaskim mgr Witold Piasecki osiedlił się przed z górą dziesięć laty. Dzień cały spędzał za kantorkiem w aptece, której został kierownikiem, a wieczorami zasiadał w ciasnym pokoiku nad księgami i studiował historię. Aptekarz zafascynował przeszłością dawniej miasteczka, teraz osady, którą przyciemnia wspaniałe i zagraniczna sława najstarszej w Polsce stadniny koni. Imponującemu musiał wyglądać Janów Podlaski, skoro już w 1465 r. uzyskał prawa miejskie, skoro później tu przeniesli swoją rezydencję biskupi łuccy, skoro w starych księgach mówi się o Janowie Podlaskim jako znaczącym ośrodku handlowo-rzemieślniczym. A te pozostałości bardziej uchwytne dla oka to: barokowy kościół, dawne seminarium, kościół poddominikański, oficyna zamku biskupiego, resztki parku angielskiego, w którym to ponoć Adam Naruszewicz pisał „Historię narodu polskiego”.

Witold Piasecki wyszedł ze słusznego założenia, że w okolicach powinno znaleźć się wiele książek pochodzących z

dawnej wspaniałej biblioteki seminarium. Zajął więc pensjonat w letni, a dzięki swemu zawołaniu mógł łatwo kontaktować się z setkami mieszkańców Janowa Podlaskiego i miejscowości sąsiadujących. Szybko rozszedła się wieść gminna, że „pwn aptekarz zbiera stare książki i inne exzadachy”. Zbiory zaczęły powstawać. Księga inwentaryzacyjna, która trzeba było złożyć w momencie powołania do życia izby pamiętek, zawiera już grubo ponad 500 pozycji. Różne są: starodruki, mapy, fotografie, pieczęcie, monety, dokumenty z ostatniej wojny.

Izba pamiętek urządzona w salce osobliwej. Na głównym miejscu ulokowano fotokopie aktu fundacji kościoła z 1428 r. i nadania praw miejskich wsi Forwosów położonego ze zmiłna narwy miłanowskiej. Tuż obok „Kazań” ks. Piotra Skargi z 1565 r. leży XIV-wieczny starożytny list z 1720 r., który zawiera słownik polsko-słowiański. Jej kartki opatrzone są w liczne ręczne napisy, być może metropolity z Brzeżna, którego księga była własnością. Co najciekawsze — rękopisy wykopano, jak to często zdarzało się wówczas, z jakiejś nieznanych rękopisów polskich, ruskich i łacińskich. Być może, że te starożytne pergaminu kryją niedoścignione tajemnice z początku XVIII w. Jest tu jeszcze księga lekarska po łacinie z 1540 r. (pewnie ówczesni eskulapowie uczyli się najnowszymi metod leczenia w Janowskim szpitalu). „Opisanie świata” wydane przez ks. Jana Kwiatkiewicza w 1695 r. w Kaliszu, zbiór panegiryków z 1420 r. „Kucharz” z 1830 r., mszalewnik katolicki wydany w 1896 r. po polsku w Wrocławiu, rękopis Franciszka Broniszewskiego z obrazami ot. „Nauka o gruntach”, pamiętnik kucharza generała gubernatora z Siedlec Pawłowskiego (duża wartość dokumentalna rysunków), fotokopia aktu zgonu Adama Naruszewicza.

Choć księgi stare przeważają wśród eksponatów, które znajdują się w Janowskiej izbie pamiętek, to jednak nie są jedynymi. Imponujący jest np. skarb monet z połowy XVII w. wydobyty z ziemi w czasie wykopów pod budowę domu przy ul. Wygodzkiej. Blisko 4 tys. sztuk borytunek Jana Kazimierza, wagi 6 kg. Na awersie portret króla, a rewers w dwu wersjach: orzeł z rokietem 1655 i pogoń z 1666 r. Czyż to był skarb? Trudno ustalić, prawdopodobnie z uwagi na niską wartość skarb wartości miedzianów był by skarb zbierczy.

Janowskie zbiory uzupełniają czapka i mundur powstańca z 1863 r. Jakuba Zdanowskiego, mieszkańca Janowa, wagi sprężynowe na pudy i funty, różek i róg myśliwski z XVII w., pieczęcie z XVIII w., w tym ciekawa karczmarsza z Krzyżewa, na której proveniencja wypisana jest alfabetem hebrajskim.

Izba janowska czeka na lepszą przyszłość, kiedy to będzie można wyeksponować wszystkie zgromadzone przedmioty.

Na brak lokalu narzekają również działacze w Wilkopolzie w pow. kraśnickim. Zebrane materiały złożono na razie w pomieszczeniu obok szkoły, gdzie dawniej urzędował fryzjer. Panuje tu jednak wszechwładnie wilgoć i jeśli miejscowe władze nie zdecydują się na szybkie wyeksponowanie pamiętek na pytanie rezerwy strażackiej, dokumentom i przedmiotom wilkopskim grozi zniszczenie.

Wilkopska izba pamiętek ma trochę inny charakter. Powstała z inicjatywy miejscowego nauczyciela Jana Bownika, który pracuje tu i działa od 37 lat. Prowadzi chór, orkiestrę młodzieżową i dorosłych, jest inspiratorem i organizatorem wszelkich poczynąń teatralnych. Jak doszło do gromadzenia pamiętek i starych przedmiotów? Chyba tradycja. Przed 60 laty kanonik Kazimierz Dembowski był organizatorem orkiestry, podobnie do tej, którą pod Zamościem tępiły władze

## Izby pamiętek

(Dokończenie ze str. 1)

W Karczmiskach wszyscy wiedzą, gdzie mieści się izba pamiętek, a więc jest przecieź rozległa i ludna. Toteż przejeżdżający tędy turyści — do Kazimierza na przykład — bez trudu, jeśli tego pragną, trafiają na wysokie wzgórce, na którym bieleje dom kultury. Ze gości nie brak, świadczy o tym księga pamiętkowa, w której znajdują się wiele serdecznych, niezdwakowych uwag. I tak lokalne, pozornie peryferyjne sprawy stają się udziałem ludzi z odległych od Karczmisk rejonów kraju.

O dobrym imieniu izby pamiętek w Karczmiskach zdecydowało środowisko, zdecydowało jego przywiązanie do żywej jeszcze tradycji historycznej. Czy ono wystarczy? Gdyby pominąć pracę i osobowość gospodarza izby, kierownika domu kultury, Zygmunta Czarnieckiego, to rejestr przyczyn byłby niepełny. To on właśnie od dwudziestu lat prowadzi teatr amatorski, to on wydeptuje drogi do zapadłych przysiółków, aby tylko odnaleźć ważny dokument, drewnianą stępe, hezycotecznie leżącą gdzieś w przyzakrętowej graniarni, on w końcu przez długie godziny nagrywa na taśmy magnetofonowe ludowe gawędy, przysięgi i relacje byłych partyzantów. Czarniecki potwierdza, że bez osobistego zaangażowania jednostki każda inicjatywa o społecznym zasięgu może doznać się tylko połowicznego sukcesu. Model placówki w Karczmiskach, który można uznać za zbliżony do optymalnego, występuje obok innych typów.

Izba pamiętek w Józefowie nad Wisłą jest niewątpliwie załącznikiem autentycznego muzeum etnograficznego, aczkolwiek zgromadzone w niej zbiory wymagają fachowej selekcji. Obok cennych eksponatów znajdują się tam przedmioty całkowicie zbędne. Warto, choćby pobieżnie, spojrzeć na zawartość czterech pokoi:

W jednym z nich stoi „maryna” czyli czarna bassetta; podobno wykonał ją 100 lat temu Józef Piłat z Wrzółowca, a podarował do zbiorów jego prawnuk, Antoni z Józefowa. Obok na stoliku archaiczna maszyna do pisania, do dziś sprawna. I biała budowla z lekkiego betonu, określona jednoznacznie jako „piramida egipska”, choć takowej w niczym nie przypomina. W pobliżu gabloty z dokumentami koła ZBoWiD-u i coś w rodzaju „ohtarzka” poświęconego Kościuszce, pociśki, które wykonały swoją rolę w czasie ostatniej wojny oraz kronika izby porodowej w Józefowie. W trzech pozostałych pokojach: wspaniałe warsztat tkacki, kołyska, polichromowane świątki, ozdoby lampy naftowe (dostępne obecnie tylko w marzeniach kolekcjonerów), foto-

grafie i dokumenty z dziejów miejscowości. Wszystkie eksponaty zabezpieczone i odpowiednio zabezpieczone.

Trzeba przy tym pamiętać, że dwa lata istnienia izby pamiętek to zbyt mało na wykształcenie u gospodarzy placówek praktycznej umiejętności stosowania odpowiednich kryteriów gromadzenia eksponatów. A poza tym, czy gospodarz może pozwolić sobie na trzymanie środowiska odmowa przyjęcia jakiegoś przedmiotu, nie przedstawiającego, co prawda, żadnego waloru muzealnego czy archiwalnego, ale dla ofiarodawcy będącego cenną pamiątką rodzinną, z którą roztaje się dla dobra społecznej sprawy? Dlatego też mądrze postępują ci opiekunowie placówek, którzy nie wahają się eksponować w zbiorach numizmatycznych „dwuzłotówki „ofiarowanej na rozryw izby pamiętek hojną ręką Genowefy U”. Pomóżmy selekcja materiałowa jest nieodłączna, ale w tej, wstępnej przecież, fazie powinna dotyczyć przede wszystkim dokumentów o treściach polityczno-historycznych.

Wyjątkowość placówki w Józefowie nie wyczerpuje się na szczególnym bogactwie zbiorów. Znajdują się ona w prywatnym domu — Stanisława Saklowskiego, autentycznego entuzjasty zbieractwa i regionalisty z prawdziwego zdarzenia. Taka lokalizacja wzbudza nieufność Prezydium GRN, niepożądanie chyba demonstrowana, albowiem w rezultacie mieszkańcy Józefowa wola, na wszelki wypadek, nie odwiedzać domu Saklowskiego. A przecieź nie odnosi się wrażenia, aby uważał on kolekcję za swoją prywatną własność, a do satysfakcji moralnej posiada chyba pełne prawo. Uznanie i pomoc kierownika Powiatowego Dому Kultury w Opolu Lub., Pawła Ochmańskiego, człowieka doskonale zorientowanego w subtelnościach wiejskiej psychiki, nie zastąpią

życzliwości i opieki ze strony władz miejscowych. A w Józefowie nieliczni tylko doceniają i rozumieją pracę Saklowskiego i jej efektywne wyniki, nieraz 65-letni stolarz spotkał się z epitetem cwaniaka, albo zgoła... wariata. Zniechęcony, nie zaprzestał przecieź swej działalności, dalej szpera po chałupach, wyciąga kolowrotki i międlice, przekonuje ludzi, że te starocie mają wartość, którą trudno określić w złotych. Bywa i tak, że sięgnąć musi do portfela.

Cel istnienia izby pamiętek w Józefowie — środowiskowe oddziaływanie — będzie tylko wówczas spełniony, jeśli obie strony konfliktu dojdą do porozumienia. Prezydium GRN stać zapewne na placynie czysztu za lokal, w którym znajdują się zbiory, a tym samym, na rozwianie wszelkich wątpliwości co do społecznego charakteru kolekcji. Natomiast Stanisław Saklowski powinien z uwagą wysłuchać sugestii dotyczących eksponatów, które nie posiadają najmniejszego związku z tym regionem.

W Józefowie, pomimo pogmatwanej i niezdrównej sytuacji, czynna jest ciekawa izba pamiętek, którą uruchomił jeden człowiek, pobogosławiony przez administrację kulturalną. Szanujmy regionalistów.

Pobieżna charakterystyka placówek w Karczmiskach i Józefowie może prowadzić do wniosku, że założenia programowe izb pamiętek zachęcają ich gospodarzy do gromadzenia wszystkiego, do tworzenia nieporządków, słażaczy, namiatków, muzeów wieloklasowych. Założenia te mówią jednak wyraźnie o potrzebie tematycznego ukierunkowania zbiorów w zależności od specyfiki terenu. Postulat ten jest

w zasadzie honorowany, aczkolwiek nie wszędzie i nie zawsze konsekwentnie. A praktyka potwierdza, że przede wszystkim izby eksponujące materiał bezpośrednio związany z danym środowiskiem są żywe i cieszą się społeczną uwagą. Do takich właśnie należy Karczmiska, preferując dokumenty ruchu oporu i etnografie, a więc istotne fakty i zjawiska tradycji lokalnej. Zblizony profil, z mocniej zarysowanym fragmentem etnograficznym, reprezentuje Józefów. Istnieją także placówki niemal monograficzne.

Wśród nich na pierwszym miejscu należy umieścić izbę w Ostrowie Lubelskim, której opiekunem jest Władysław Wysocki. W czasie okupacji miejscowości ta była punktem oparcia oddziałów partyzanckich i siedzibą dowództwa Armii Ludowej, jej mieszkańcy brali czynny udział w walkach z hitlerowcami. Stąd właśnie dokumentacja izby poświęcona latom wojny — bardzo różnorodna i bogata dzięki pomocy Zakładu Historii KC PZPR.

W Hucie Rudzie w powiecie chełmskim utrwalono ślady po dramatycznym wydarzeniu z lat okupacji, kiedy to w wiosce znalazło schronienie dwóch lotników radzieckich, których samolot spadł w pobliskich lasach. Jeden z nich zginął, drugi w szeregach polskiej partyzantki, szczęśliwie doznał wyzwolenia. W tamtych czasach nawiązał serdeczne przyjaźnię z Polakami, które do dziś nie wygasły. Dowodem korespondencja w izbie pamiętek — od niego, i od rodziny tego, który zginął.

Spotkać przecieź można na Lubelszczyźnie placówki żyjące tylko w statystyce. W powiecie puławskim czynna jest jedna z pięciu izb. Jedyna placówka w powiecie bilgorajskim, w Tarnobrodzie, jest praktycznie niedostępna dla zwiedzających, albowiem odbywał



odprowadzą to zbocze aż do wodopoju nad szybką siwą wodę przez krzemienie ostre gdzie w rozprysniętym łuku wikliny zmierzach stoi czekając dzwonów ciszy i pieszczoty ostów

pszczoły światła wieczornych zlatują powoli na stoki spadające ku górzystej wodzie okolica skurczona od bólu — to boli żąb spróchniały na wzgórze w przeciągu historii który resztkami szklawa blade niebo bodzie

zbiegnięte okiem wzgórze (dokładnie) niż stopa bez wstania; gdy stopy śpięszą — oczy milczą i odjęte wzrokowi — prawdziwie jest sobą a to znaczy: zanika aby móc zaistnieć

wzgórze tyś całe z drzewa nocy krwi i kości przemieszanych najgłębiej w zetłalej miłości

(piszę to pamiętając o hołdach należnych i o prawie dotarcia do ciebie przez siebie; opis jest słuszny jeśli rzecz sama zwycięży i odaloni twarz prawdy zakrytą boleśnią)

ostań wzgórze w zieleni niskim nikłym mroku dolina płonie światłem ptak leci w ten pożar w tę gęstą ospę domów w skisły odór moczu gdzie pleśniejące bramy pragną błysku noża

oswojonego z jabłkiem mięsem i krwią klonu

Przemysli



Izba pamiątek w Józefowie

carskie nakładając różne kary na Karola Namysłowskiego. Dembowski zakupił 40 instrumentów muzycznych. Biegł po wsi od chaty do chaty i prosił, żeby nie niszczyli starych sukman, żeby nie okrywać nimi zgrzanych koni, bo po odzyskaniu niepodległości przydadzą się. W izbie na wieszaku wiszą: zgrzebna sukmana chłopska, żakiety, czepek, chusta, kaftaniki, kapelusz. Gdzieś w rogu socha i stary pług.

— To wszystko ma więcej niż sto lat — mówi dumnie Jan Bownik i ciągnie mnie do drugiej gabloty. W niej dyplomy (współczesne), stare zdjęcia, artykuły z gazet. Pokazuje kontrabasistę Wawrzynca Stefanka, 80-letniego starca, który wraz z ojcem Stefana Rachonia grał w księzowskiej orkiestrze.

— Jeszcze dziś gra w naszej orkiestrze, razem z synem i wnukiem. Trzy pokolenia. Orkiestra ta występowała na uroczystościach w lasach Janowskich przed marszałkiem Spychalskim.

W izbie pamiątek w Wilkołazie najwięcej jest materiału dokumentalnego z ostatniej wojny. Gryps z Zamku pisany przez Józefa Wójcika, który zginął w 1943 r. w Gisen, nr 20 Buletynu Informacyjnego AK z 18 maja 1944 r., list dziękczynny Władysława Zańczuka, którego Jan Bownik uratował w czasie okupacji przed niechybną śmiercią, list Jakuba Ciołka i jego fotografia.

To bohater wsi. Był porucznikiem Królewskich Sił Powietrznych w Anglii, walczył w dywizjonie 306, zginął nad Francją w 1943 r. Rodzina do izby pamiątek przekazała list Jakuba Ciołka z 27.V.1942 r. Pisał m. in.: dotarłem do Francji, bo tam się tworzyły nasze wojska i wojna trwała. Szturm tam po walkę, po lepsze uzbrojenie, po zemstę za spalone wioski i gruz naszych polskich miast. (...) Nie wierzę nigdy cokolwiekby uam kto mówił, że na Zachodzie jest wszystko lepsze. Nie wierzę! We własnych zwyczajach, tradycji i pracy szu-

kaćcie lepszego jutra, robotnicy. (...) Wstąpiłem do sił powietrznych i jestem w eskadrze bombardującej. Bombardujemy Niemcy, miasta, porty i fabryki. W chwili obecnej atakami setek, do tysiąca maszyn znosimy całe miasta. (...) Walczymy, aby była Polska, lepsza, sprawiedliwsza i silniejsza. Po to tuśmy przyszli, z innymi i ja. Jakby przeczuł, co nastąpi, bo kończy list prośbą, żeby mu wzniesiono na cmentarzu w rodzinnej wsi skromny kamień, z wyrytym imieniem i wiekiem na ziemi Ojczyście, a droższej wiele, wiele droższej i piękniejszej od tych, które na obczyźnie widziałem.

Mieszkańcy Wilkołaza przez wiele lat ten list traktowali jak wytyczne swojego działania. Przecież był przekazem człowieka, który widział dużo, wiedział więcej niż oni, zginął za sprawę. Na placyku przy szosie Komitet Gromadzki FJN wzniesie obelisk z wyrytymi nazwiskami wszystkich, którzy zginęli w czasie II wojny światowej.

Głównie na pamiątki, dokumenty, fotografie, grypsy itp. z ostatniej okupacji hitlerowskiej nastawiona jest izba pamiątek przeszłości w izbie. Tu był przejściowy oboz koncentracyjny. Niemcy mordowali ludność polską, żydowską, starców i dzieci. Znalaziono sporo zdjęć robionych przez Niemców i Polaków, które mają obecnie niezmiernie dużą wartość dokumentalną. Służą niejednokrotnie do ujawniania ukrywających się zbrodniarzy hitlerowskich. Izba pamiątek w izbie jest jednocześnie placówką, która organizuje spotkania i odczyty na tematy związane z II wojną światową.

Różnorodny charakter mają lubelskie izby pamiątek. Wszystkie jednak pobudzają inicjatywę społeczną, chronią dokumenty przed niewątpliwym zniszczeniem lub zatarciem, wzbogacają wiedzę o przeszłości. Są pomostem łączącym minione lata z tym, co jest i co będzie.

W niej zajęcia ogniska muzycznego; energia organizatorów wyczerpała się w dniu muzycznego otwarcia. W Zamojskim dwie izby wymagają gruntownej reorganizacji, a może nawet reaktywacji. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja w powiecie hrubieszowskim. Logika i pamięć o sprawie działających placówek nakazują zapytać, dlaczego tak się dzieje, dlaczego np. tak zamożny powiat, jakim jest niezaprzeczalnie, usprawniła w sprawie inicjatywy brakiem środków finansowych na zakup sprzętu i urządzenia ekspozycji w izbie?

Prawda, zorganizowanie i utrzymanie izby pamiątek kosztuje. Gabloty, planse, zdjęcia, ekspozycja mają swoją cenę. Zgodnie z założeniami, konieczne fundusze powinny zapewnić prezydium GRN. Oczywiście — z nadwyżek budżetowych. Ale kiedy rada gromadzka rozdzieli nadwyżki na remont dróg, na remont tego i owego, to wówczas okazuje się, że na izby nie starczyło już grosza. Zamożniejsze rady potrafią od czasu do czasu coś tam wysuplać z sakiewki, ale to doraźne zastrzyki finansowe nie są w stanie uzdrowić schorowanej placówki. Czasami pomoc nadchodzi z muzeum regionalnego, z wydziałów kultury PWRN i PPRN, z PDK. Najczęściej w postaci sprzętu, lub pomocy w urządzeniu ekspozycji. Ale te instytucje nie posiadają w swoich budżetach pozycji „na izby pamiątek”, w związku z czym mamy do czynienia z formą zapomogi, a nie ze stałą dotacją. Warto pomyśleć, czy izby pamiątek nie powinny znaleźć się w budżecie wydziałów kultury PPRN.

Czy jednak wszystkie kłopoty rodzą się z braku pieniędzy? W niektórych powiatach łatwo zauważyć przedziwną obojętność gospodarzy terenu w sto-

sunku do izb pamiątek, całkowite niezrozumienie ich roli społecznej i kulturowej. Jeśli jest inaczej, jeśli gromadzka rada, przez gminnej spóldzielni czy przedstawicieli innych instytucji działających na wsi dostrzegają coś ważnego w istnieniu izby, to i pieniądze się znajdują. W Łaszczowie w powiecie tomaszowskim GS przeznaczyła na działalność izby 3 tys. złotych, rada gromadzka 1 tys. złotych, gminna kasa spóldzielcza 1 tys. złotych, POM — 200 zł, a prywatna osoba 300 zł. Można załować, że gospodarze Krasienina nie chcą wziąć przykladu z Łaszczowa i od półtora roku zwlekają i kluczą, aby tylko nie powstała u nich izba pamiątek poświęcona wybitnej działaczce ruchu ludowego.

Słowem, pomyślność cennej inicjatywy zakładania izb pamiątek zależy przede wszystkim od jej zrozumienia przez władze terenowe i od osobistego zaangażowania społecznych działaczy.

Trzeba tych ludzi wyszukiwać, pobudzać i opiekować się nimi w konfliktowych sytuacjach, których nie brakuje. Trzeba mądrze nimi kierować, szanując ich pracę naprawiać nieuniknione początkowo błędy.

Mamy na Lubelszczyźnie izby pamiątek bardzo dobre, niejako wzorcowe. Mamy też placówki ubogie, lub wręcz rozpadające się, nie dostrzegane przez gospodarzy terenu. Dwa lata rozwoju i praktycznej realizacji idei utrwalenia lokalnych tradycji dostarczyły niemałej liczby doświadczeń. Dobrych i złych. Choć nie pora jeszcze na ostateczną, generalną ocenę ich społecznej sprawności, to przecież czas już na wyciągnięcie wniosków na przyszłość.

Ireneusz J. Kamiński

## Po IV Plenum Rady Okręgowej ZSP w Lublinie

NIE ma co — podoba mi się ta salka w Collegium Medicum. I lat jakoś ubyło, gdy pochyliłem głowę nad pulpitem. Ucieszyłbym się nawet, gdyby pan profesor wywołał teraz moje nazwisko i kazał... Stop, Marku Adamie, jeszcze pójdziesz na mównicę nieproszone, ale teraz milcz i pilnie słuchaj, notuj, co studenci, czyli twoi młodsi koledzy, chcą na tym IV Plenum Rady Okręgowej ZSP w Lublinie „rol i zadaniom ZSP w środowisku studenckim” poświęconym — zapodać.

Odczytanie oficjalnego referatu trwa trzy kwadransy. Nie za dłu-

żej, nie ma co — podoba mi się ta salka w Collegium Medicum. I lat jakoś ubyło, gdy pochyliłem głowę nad pulpitem. Ucieszyłbym się nawet, gdyby pan profesor wywołał teraz moje nazwisko i kazał... Stop, Marku Adamie, jeszcze pójdziesz na mównicę nieproszone, ale teraz milcz i pilnie słuchaj, notuj, co studenci, czyli twoi młodsi koledzy, chcą na tym IV Plenum Rady Okręgowej ZSP w Lublinie „rol i zadaniom ZSP w środowisku studenckim” poświęconym — zapodać.

umiejący stawić czoła politycznym trudnościom. („Jeśli nie może stawić czoła, trudno go uważać za sprawny i rzutki” — znów przegóra dochodzi do głosu). Przyczynę tego tkwią m. in. w tym, że pokutuje jeszcze myślenie, iż problemami ideowo-wychowawczymi powinna zajmować się głównie Komisja Propagandy i Informacji. Niewystarczająco jest również opracowany system politycznego szkolenia aktywów. Rada Okręgowa ZSP zdaje sobie sprawę, że tradycyjne formy oddziaływania na ogół studentów nie w pełni zdają egzamin. Najpoważniejszym mankamentem w pracy organizacyjnej jest brak lub niewystarczający stopień działania w grupie studenckiej. Nie wolno też lekceważyć wychowawczego oddziaływania przez pracę fizyczną. „Zechemy zerwać z tym stanem, że więcej studentów wyjeżdża latem na różnego typu wczasy niż do Ochotniczych Hufców Pracy”. „Pod dyskusję poddajemy projekt o objęciu patronatu lubelskiego środowiska akademickiego

kolego — chcę zapytać — wiedziałeś, że nikt nie myślał o rozróbce? Mogłeś czuć za siebie, a nie za Antka, Jurka czy Zosię. I po co to dzielenie: działacze ZMS — diabełki, a działacze ZSP — aniołki. W czym interesie leży sianie nieufności i zadrążeń?

Jest też mówca trzeci. Apeluje na „żebry”. Żeby więc przedstawiciele ZSP mieli autorytet, żeby byli „duszymi” poszczególnych lat studiów. Przewodniczący długo nawołuje, aby jeszcze ktoś się zapisał do głosu. Sala milczy, więc przemawiają goście. Wicekurator, przedstawiciel Rady Naczelnej ZSP, przewodniczący ZW ZMW. Nie wytrzymuje też nieszczęśliwy, w którym budzi się dawny działacz AZWM „Zycie”. A nie wytrzymuje wtedy, kiedy gość z Warszawy mówi:

## O ZSP gderliwie

Marek Adam Jaworski

go, znużyć się więc nie można, chociaż te słówka są zbyt okrągłe, zbyt wyważone, żeby się ani w tę ani w tamtą stronę nie wychylić.

A więc trochę o samym Zrzeszeniu. Przypomnienie, że jest ono powszechnie, samodzielnie i dobrowolnie, otwarte dla wszystkich studentów, organizujące ich w celu czynnego uczestnictwa w realizacji budownictwa socjalistycznego. Do zakresu działalności ZSP należy następująca grupa zagadnień: obywatelskie wychowanie studentów, angażowanie ich do rzetelnej nauki, organizowanie życia kulturalnego i sportowoturystycznego, problemy socjalno-bytowe i ochrona zdrowia studentów a także — licho wie, dlaczego ów punkt figuruje na samym końcu — podejmowanie wysiłków zmierzających do podnoszenia poziomu wiedzy politycznej ogółu studentów oraz integracja środowiska akademickiego z pozaczeselnymi środowiskami — robotniczym, wiejskim i szkolnym.

„W realizacji powyższych zadań — na przestrzeni lat — notowane są duże osiągnięcia. Jednak obraz rzeczywistości nie byłby pełny, gdyby mówiono tu jedynie o pozytywach. Często dostrzegamy także braki i niedociągnięcia. Te ostatnie dają szczególnie o sobie znać w czasie zajęć marcowych”.

Jak dają znać — o tym już referat nie mówi. Uznano najwidoczniej, że wszyscy wiedzą, o co chodzi.

Na razie leć pozytywy. Nie wiem, czy wszystkie można zaliczyć na konto ZSP, ale rzecz sama w sobie nie jest znów taka ważna.

A więc coroczne kompleksowe obozy badawcze kół naukowych, a więc rozwój samorządności studenckiej (rady mieszkalców domów studenckich, rady lat), a więc organizowanie imprez turystycznych połączonych z odwiedzeniem miejsc pamięci narodowej i spotkaniem z partyzantami, a więc tzw. bilete niedzielne, pogadanki i pokazy w klubach Ruchu i Holnika, a więc wstępy artystyczne, a więc sukcesy Gongu 2, Zespołu Tańca Ludowego UMCS. Osobna karta to dyskusje wewnątrzśrodowiskowe. Klub Wiedzy Politycznej — Publicum, Klub „Forum”, Studium Wiedzy Estetycznej, międzyuczelniane Studenckie Kola Nauk Politycznych... Notuję to wszystko i zastanawiam się, kiedy jeszcze ci biedni studenci mają czas na naukę, na miłość i kieszek „salka”. Ale sz! Referat jest poważny i niepoważne myśli trzeba przepędzić. Teraz szczególnie zaś należy uważać, bo dochodzimy do negatywów.

Aktyw ZSP jest sprawny i rzutki, cechujący się na ogół właściwą postawą społeczną i polityczną, lecz nie bardzo

nad jedną lub kilkoma włoskami Ziemi Lubelskiej”.

W końcowej części referatu kilka słów pada jeszcze na temat konieczności zacieśnienia współpracy między ZSP a ZMS i ZMW.

Dziesięciminutowa przerwa i rozmowy w kuluarach. „Dyskusja powinna być burzliwa”. „E, co ona zmieni?”. „Chłopie, nie wychylaj się!”

Pierwszy mówca rzeczywiście nie wychyla się, ale rzuca kilka słusznych myśli. „Nazywają nas organizacją, która w środowisku studenckim spełnia rolę jak gdyby związku zawodowego. Jest to błędne sformułowanie, zawęża bowiem naszą pracę do spraw bytowo-socjalnych. Trzeba przeciwdziałać atmosferze indolencji politycznej wśród studentów, którzy na ogół nie chcą dyskutować lub do prostu nie mają dyskusji o powiedzenia. Wszystkie komisje ZSP powinny zajmować się pracą wychowawczą, nawet Komisja Wczasów i Turystyki. Studenci kończą studia, a w czasie pobytu w Lublinie ani razu nie byli na Majdanku! W Chatce Żaka odbywają się dyskusje, ale czy podczas tych dyskusji nie idziemy po najłżejszej linii oporu? Dlaczego unikamy spraw drażliwych — to właśnie jest sens spotkań”.

Mówca wyważa otwarte drzwi, na marginesie notatek stawiam duży znak zapytania, bo albo prelegenci „trują” i nie wytwarzają klimatu do swobodnej dyskusji, albo młodzież rzeczywiście spotkania traktuje „na odrabianie”.

Mówca, nazwijmy go numer dwa, wygłasza — jak cały czas podkreśla — bardzo osobistą gadkę. Stwierdza, że do 11 marca jego dewiza była mała stabilizacja. Potem następuje dość subiektywny opis nielegalnego wstępu przed Chatką Żaka („Chciałem zaświadczyć, że sprawa kultury polskiej leży mi na sercu. Nikt z nas nie myślał o rozróbce”). Z kolei pada kilka obraźliwych uwag pod adresem ZMS, a na końcu słowa pochwały pod adresem działaczy ZSP, którzy potrafili naprostować jego błędne poglądy.

Słucham, notuję z mieszanymi uczuciami. Ktoś mówi z boku „mydłek”, ktoś inny składa ręce do okłasków. A mnie się wydaje, że chłopak jest ciągle zdeorientowany, że warto mu pomóc. — Skąd,

„Miał na to plenum przyjechać przewodniczący Rady Naczelnej ZSP. Dobrze, że nie przyjechał”.

Przewodniczący ZW ZMW bardzo krytykuje drugiego mówcę. Ubodło go, i nie dziwi się zbytnio, owo rzucanie kalumni na bratnią organizację. Ale może tych ostrych słów jest trochę za dużo? Czy student zaraz musi wiedzieć tyle, ile przewodniczący ZW?

„Ale przewodniczący ZW ZMW i tak nie prześciga przewodniczącego RO ZSP. „Chciałem zapytać, z jakim wrażeniem wyjdą goście po dzisiejszym plenum? Temat był obliczany na szeroka dyskusję. To, co powiedzieli goście, miało paść z naszych ust! Wielu z nas powinno poszukać miejsca poza organizacją. Reprezentujemy studentów, którzy potrafia się samookreślić. Nie reprezentuje to plenum nas samych. Musimy żądać więcej od siebie. Jeśli nie żądamy od siebie, nie mamy prawa żądać od studentów”.

Przewodniczący grmi donośnie. Gdy kończy, chce jeszcze poprosić o głos mówcę drugi, ale przewodniczący mówi wówczas coś, co mnie niepomniernie dziwi: „W naszej organizacji nie ma zwyczajów, aby ktoś przemawiał po podsumowaniu dyskusji”. „Ludzie Kochani myśle — tak mocno apelujecie o demokrację, ale zanieście od własnego grona!” Ja, dziennikarz, tak pomyślałem, lecz ów b. działacz młodzieżowy, który ciągle siedzi we mnie, nie wytrzymuje i musi to wypowiedzieć głośno. Robi się trochę zamieszanie, ostatecznie jednak mówca numer dwa oświadcza, że zgłaszał się przed podsumowaniem, tylko, że jego tekst przewodniczący nie zauważył. Wszystko kończy się więc akcentem optymistycznym, mówca numer dwa głos zabiera ponownie i okazuje się, że nie chciał powiedzieć tego, co... powiedział, że się po wydarzeniach marcowych przełamał i wszystko jest o'key.

Uchwalono jeszcze tekst listu do towarzysza Wiesława i IV Plenum RO ZSP byłoby odfajkowane, gdyby nie moja koleżanka po fachu z Polskiego Radia, która oświadcza, że są jeszcze koledzy, którzy chcieliby zabrać głos i w związku z tym nie ma sensu kończyć dyskusji.

No i dyskusja znów się zaczyna. Pierwszy (z drugiego rzutu) mówca oświadcza, że to wszystko, co się mówiło, to przelewanie z pustego (Dokończenie na str 11)



na, przeważnie parterowe, drewniane. Ładność utrzymuje się z pracy w administracji, handlu, usługach i oświacie. Największe przedsiębiorstwa to fabryka odzieży (zatrudnia 2 100 osób), cukrownia, wytwórnia konserw i cegielnia. W mieście są cztery szkoły ogólnokształcące, dziesięć latnie, jedna sześcioletnia, technikum mechanizacji i hydro-melioracji wsi oraz studium pedagogiczne. W samym studium uczy się 100 osób. Miasto posiada dwa kina, dom kultury (w starej ruderze — nowy dom właśnie budują) i muzeum. Mają również swoją gazetę powiatową „Słowo Prawdy”, zatrudniającą 11 dziennikarzy i ukazującą się trzy razy w tygodniu.

Spacerujemy teraz po Włodzimierzu. Na dachach las anten dwójki rodzaju: jedne ustawione na odbiór radzieckiej telewizji, drugie na stacje w Bożym Darze pod Lublinem. Większość ludzi ogląda oba programy, podobnie zresztą jak i u nas w powiatach przygranicznych. Sklepy otwarte (jak zwykle w dni świąteczne — zamknięte są w poniedziałki), największy tłok w salonie radiowo-telewizyjnym, gdzie właśnie sprzedają nowy typ miniaturowych odbiorników tranzystorowych oraz w „Jubilejnym”, czyli jakby naszym delikatesowym, który czynny jest do godz. 23. Co krok uliczny kiosk z kwasem chlebowym. Co krok też ktoś zaciepla mego przewodnika, ten zapoznaje ze mną, ściskamy sobie ręce i co krok spoglądam z niepokojem na zegarek. Czas do Uściługu. „Autobus miejski kursuje tam co pół godziny, nie ma sensu się tłoczyć — mówi Wania — znajdę jakiś wóz”.

Znajduje. Kierowca, zwany przezeń zdrobniale Stopą, właśnie się tam wybiera, bo w Uściługu ma występować muzyczny zespół z Hrubieszowa. Po drodze zatrzymujemy się pod miastem, w miejscu gdzie w latach 1941—44 Niemcy wymordowali 56 tys. radzieckich jeńców wojennych. Stoją tam dwa pomniki. Jeden przedstawia siedzącą kobietę, pochyloną w odruchu rozpacz. Na postumencie wyrzeźbione są słowa ukraińskiego poety. Pawlyczki: „W popiół obrócić się nasze ciała, lecz głos nasz nie spłonie. Ludzie — słuchajcie!” Drugi pomnik to trzy maszty, pomiędzy którymi stoi wynędzniała męska postać wysokości ok. 5 metrów, oplądana drutem kolczastym. „Nikt nie będzie zapomniany, niczego nie zapomnimy” — głosi napis na postumencie. Autorami pomników są F. M. Briż, E. W. Dzindra i J. J. Nazarkiewicz.

Przed Uściługiem stajemy jeszcze na chwilę nad dużym, sztucznym zalewem, zbudowanym dwa lata temu przez młodzież włodzimierzowską na malej rzeczulce.

W Uściługu okazuje się, że nie było co się spieszyć, bo nasi dopiero przyjechali i jedzą obiad. Pożeganie trwało kilka godzin. Gdybym wiedział, zostałbym dłużej we Włodzimierzu, lub też pochoził po samym Uściługu. A tak staliśmy sobie tuż przed szlabanem granicznym i nie można było ruszyć, bo gospodarze, wnoszą toasty na zdrowie, za przyjaźń, za następne spotkanie itd. No, a jak żegna się 300 osób z naszej strony i co najmniej trzy razy tyle z ich, trudno wszystkich pozłebrać.

stwa chłopów-robotników powoli infiltruje, m.in. w zależności od procesów urbanizacyjnych, w środowiska robotnicze, nasiłkając miejską kulturą). W tym wszystkim powinny, i mogą, mieć poważny udział właśnie zakładowe domy kultury.

Odnoszę wrażenie, iż w krańciskim ZDK oddziaływanie na środowisko zakładu jest traktowane jako cel jeden z wielu, i to bynajmniej nie najważniejszy. Gdzie tkwią przyczyny i jak temu zaradzić?

Oto na przykład sprawa kultury chłopów-robotników praktycznie zajmuje się... nikt. Są oni przeważnie na marginesie życia społecznego wsi, bo muszą pilnie zajmować się własnym gospodarstwem, z reguły wykorzystując na to czas wypoczynku i urlopow. A przy istniejącej organizacji dojazdów do pracy i z pracy oraz wyjazdów ekip ZDK w teren (ok. 25 rocznic, co stanowi załadowe polewy, wyjazdów planowanych) oddziaływanie ZDK na chłopów-robotników jawi się bardziej jako okazjonalny, odświeżający kontakt osieroconych dzieci ze światem miastem i kulturą, niż jako celowa i stała akcja. A i z tą odświeżającą różnicą bywa, skoro „najlepsze” dni (sobota i niedziela) są, jeśli idzie o środki transportowe fabryki, zablokowane dla potrzeb domu kultury.

A więc poprawić dojazd (nad czym już pracuje Rada Narodowa). A więc poprawić wyjazd, co leży częściowo w gestii fabryki, ale co nie jest łatwe wskutek znanych trudności bazy transportowej w kraju i koniecznych ograniczeń w zakresie nadliczbowych godzin kierowców.

No i oczywiście każdy by tu powiedział: zwiększyć dotacje na działalność merytoryczną. To jednak nie takie proste. Pewno, że fundusze Rady Zakładowej można by zgłaszać do ZDK („Przesunąć” — z korzyścią dla ZDK (zresztą dotacje Rady Zakładowej są z reguły większe niż „kilka tysięcy”; w r. 1964 — 23 100 zł, 1965 — 9 600, 1966 — 62 500). Pewno, że fabryka mogłaby „wykazać więcej troski” o elastyczne dysponowanie finansami w tej materii (za wysokim problemem gabinetu dyrektora administracyjnego wiele słyszałem o „planowanych” wydatkach na

Wyjeżdżaliśmy zatem już o zmroku, jeden z pasażerów naszego autokaru błagał kierownika grupy „panie, puść pan, muszę wyjść”, ten odpowiadał „ani myślę, koniec bałaganu, dobrze, że mam narzeczki komplet w wozie” i zastawiał drzwi swoją osobą. Potem dopiero kontrola dokumentów wykazała, że ten pierwszy rzeczywiście musiał wyjść, gdyż mieszka we Włodzimierzu, my natomiast nie mieliśmy kompletu i odjeżdżaliśmy bez jednego, który się zawieszył.

Siedzę teraz przy biurku, czytam to, co wyżej napisałem i zastanawiam się, jak odbierze to czytelnik. Jeśli szuka relacji o Włodzimierzu to zawiadzę się, tak jak ja zawiadłem się w nadziejach na reportaż z tego miasta, bo byłem w nim za krótko. Jeśli będzie chciał dowiedzieć się, jak wyglądają takie przygraniczne wizyty, być może dojdzie do wniosku, że sporo w nich form towarzyskich, natomiast niewiele poznawania za granicę. Istotnie tak jest. Ale nie ze względów programowych, tylko z uwagi na zapotrzebowanie społeczne. W ramach wymiany przygranicznej utrzymywane są kontakty specjalistyczne: naukowe, kulturalne, sportowe. Organizowane są również tak zwane „autobusy przyjaźni”, którymi na trzy dni wyjeżdżają grupy nauczycieli, mechaników, lekarzy, rolników, handlowców, rzemieślników, itd. Poznają po drugiej stronie granicy interesujące ich obiekty, sportują się z tamtejszymi specjalistami. Tamte formy istnieją już od lat. Całkiem inny charakter mają wprowadzone niedawno wymiany tak licznych delegacji. W ubiegłym roku, 22 lipca, do Białej Podlaskiej przybyła 900-osobowa delegacja rejonu kamienieckiego w obwodzie brzeskim. Wzięli udział w wiecu, potem obejrzeni występy artystyczne, a potem pobiesiadowali z białszczanami, że hej! 300-osobowa delegacja rejonu włodzimierzowskiego ma przybyć 22 lipca do Hrubieszowa. Też zapewne długo będą ją żegnać gospodarze na granicy.

Po obu stronach Buga mieszkają krewni, koledzy, znajomi. Wymiana przygraniczna co rok przynosi nawiązywanie nowych przyjaźni. Ci ludzie chcą się ze sobą widywać — nie wystarczy im sama korespondencja. Ale nie zawsze mają po co jechać na dłużej. Hrubieszów czy Włodzimierz to nie kuryorty do spędzania urlopu. Poza tym normalny wyjazd za granicę wymaga chodzenia do biura paszportowego, pewnych kosztów, ba, u niektórych nawet — przekonanych, że granica to tabu — przelamania pewnych oporów psychicznych. A tak — wystarczy dostać się w skład wielusetosobowej delegacji i bez żadnej fatygi skoczyć na kilka godzin za Bug, pogadać z kim trzeba, poklepać się po plecach, pośmiać się, nawet popłakać ze wzruszenia, wypić co nieco i do domu! Wydaje mi się, że tak myślą po obu stronach granicy, dowodem czego jest coraz liczniejsza rzesza amatorów na te jednodniowe wyjazdy. Czy nie można by czego w nich usprawnić? Z pewnością można i zapewne dalszy rozwój mieć będzie nie tylko charakter ilościowy, lecz i rodzajowy.

rozbudowę ZDK — rzędu 10 mln zł polskich, ale bardzo mało słyszalem o starych stolach i kulawych krzesłach będących „na stanie” tegoż ZDK).

Przed wszystkim jednak trzeba pomyśleć, jak poprawić sytuację w ramach istniejących możliwości finansowych i organizacyjnych.

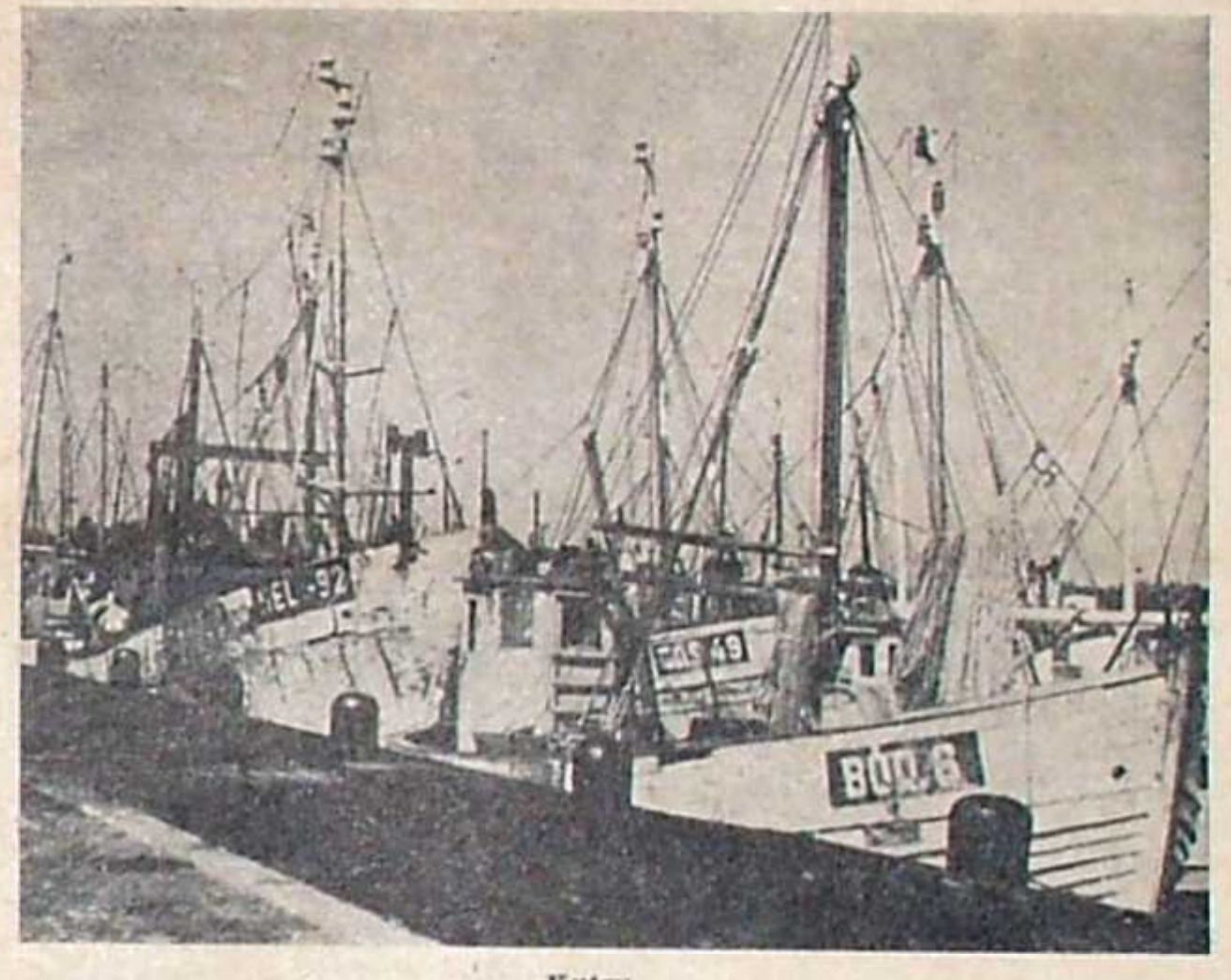
A więc ZDK winien stać się domem głównie dla dorosłych i pracujących młodzieży. Nie ma potrzeby wyrećczenia i dublowania szkoły w zakresie tych form pracy z dziećmi i młodzieżą, które szkoła (i szkolna świetlica) może i zasadniczo powinna realizować (nauczanie języków obcych, modelarnie, kółka zainteresowań, recytatorskie, czytelnicze i mniejsze wokalne etc.). Rozumiejąc, że latem jest elementem łatwiejszym do pozyskania i zorganizowania w obrębie różnorodnych zespołów, niż... dorobił, a prace zespołów daje się łatwo i konkretnie wykazać w... sprawozdaniu, zaś ich liczbę i ba będzie m. in. decydować o kategorii ZDK (ogólnopolska kategoria z maja br.), a więc decydować będzie o wysokości poborów personelu. Rozumiem to, ale kryterium ilościowe w zbrojnej pracy na niwie kultury nie zawsze wydaje mi się przystojne. Zaś zredukowanie pewnych zajęć z młodzieżą i dziećmi oraz wypracowanie w tym miejscu nowych, szerzej aktywizujących form działalności (dla dorosłych i z dorosłymi), a także kontynuowanie istniejących dotąd, ale nieśmiały prób w tym zakresie — wydaje się ewidentne w sferze konieczności.

A zatem — jeśli założono Klub Rencistów i Emerytów (nb. bardzo piękna inicjatywa), to dlaczego by nie otworzyć „Klubu Robotników”, który obok istniejącego (poza ZDK, ale na terenie obiektu) Klubu Technika i Racjonalizatora (głównie kadra inżynieryjno-techniczna) mógłby stać się zaczątkiem jakichś przyszłych inicjatyw integracyjnych (integrująca rola ZDK ujawnia się, jak dotąd, na terenie

# Z dorobku Zbigniewa Zugaja



Kulawy



Kutry

zespołu... big-beatowego, któremu nb. zafundowałbym fachowego instruktora). Jeśli zespół czytelniczy, to dlaczego nie dla dorosłych, włączając także czytelniczo prasę? Jeśli Dyskusyjny Klub Filmowy, to dlaczego brak filmów przeznaczonych wyłącznie dla DKF-ów? Wytworzenie się w tym zakresie zdrowego snobizmu mogłoby wygonić inteligencję techniczną z kierownic samochodów i sprzed ekranów telewizorów i wprowadzić ją w podwoje ZDK. Konieczność trzeba nadal prowadzić i rozszerzać pracę w hotelach robotniczych, kursy kroju i szycia, pracę z kobietami (wysoki procent zatrudnionych w KFWM to kobiety!). Przykładem planowanym zajęciem Uniwersytetu Robotniczego. Przykładuję inicjatywom, które zmierzają do poprawy higieny osobistej ludzi, krzewią kulturę uczuć, kulturę obyczajów, języka. Kłaniam się przed tym TWP i winszuję sobie bardziej odpowiedzialnych prelegentów!

Ze nie zawsze istnieje zapotrzebowanie na tego rodzaju przedsięwzięcia? Ale z tym trzeba wyjść do ludzi, rozpocząć szeroką propagandę (radiowo-zakładową) — bez detego frazesu i koturnowych hasel. I wytworzyć tradycję, że ZDK jest przybytkiem „dorosłych” zajęć i atrakcyjnej rozrywki, a nie infantylną czestokroć imprezą.

Zakładowy Dom Kultury w Krańniku Fabrycznym pełni rolę absolutnego omnibusu. Prowadzi działalność wśród dzieci i — z różnym skutkiem — wśród części dorosłych, usługuje dotrzed do społeczności fabrycznej i środowiska miejscowego w ogóle. Wyjeżdża w teren powiatu i województwa. Skoro już tak się złożyło, to nie należy wymagać od fabryki i Rady Zakładowej, by finansowały wszystkie te poczynania. Nie ratują też sytuacji jednorazowe inicjatywy finansowe — a to przehandlowanie kawiarni na rzecz PSS-u, a to fundusze ekstra z puli Zarządu Okręgowego Związku Metalowców, a to „bale myśliwskie”... Jeśli ZDK ma spełniać swoje główne zadania i jeszcze te wszystkie, których oczekują czynnik pozazakładowe, to musi liczyć na stałe dotacje Instytucji i przed-

siębiorstw zlokalizowanych w mieście. Fundusze te powinny się znaleźć. (Były nawet rozmowy na ów temat, ale, jak zwykle, skończyły się na gołostownych deklaracjach). Bo rzeczywiście planowane „merytoryczne” finansów ZDK na zasadzie: wydatki równają się zyskom, które nb., jeśli chodzi o kino, będą ciągle maleć, przynosi ujmę socjalistycznej kulturze i skazuje placówkę na chałturę. Bez rozwiązania tego problemu trudno myśleć o zorganizowanych, stałych akcjach, które mogłyby zyskać jakikolwiek szerszy społeczny wymiar.

Parę oczywistości. Powstają w Polsce i rozwijają się wielkie zakłady produkcyjne, zaś obok nich młode miasta. Zmniejsza się liczba małych gospodarstw rolnych, powstaje klasa wysoko kwalifikowanych robotników-specjalistów. Ludzie będą mieli coraz więcej wolnego od pracy czasu. Równoległe z tym musi postępować rozwój kultury tych ludzi, jeśli chcemy patrzeć spokojnie w perspektywę socjalistycznego krajobrazu naszego państwa i jeśli nie chcemy w pewnym momencie obudzić się w smutnym społeczeństwie robotów-konsumentów.

Zresztą kwestie bezpośrednio się zajął. Oto przykład. Rozdział funduszu zakładowego zależy w sporym stopniu od załogi. Jeśli ZDK w Krańniku Fabrycznym otrzymuje... nic z tego funduszu, to może znaczyć, iż załoga nie jest zainteresowana w poczynaniach ZDK jako działu fabryki reprezentującego kulturę i równocześnie, że poczynania te „nie interesują się” załogą jako określoną całością o określonych potrzebach kulturalnych, które należy ukierunkować i zaspokoić. Może to się jakoś ma do... płynności kadr?

SPRAWA zakładowych domów kultury, ich statusu, celów i funkcji domaga się szczególnej uwagi.

Maciej Podgóski

# Od klubu do Towarzystwa

**P**RZED 30 miesiącami w Rozgłośni Lubelskiej Polskiego Radia narodził się dość śmiały projekt: zorganizujemy klub miłośników Lublina. Taki klub pisany małą literą, bo to będzie tylko pojęcie umowne. Zadnego statutu, żadnego oficjalnego członkostwa, żadnych składek, żadnego prezesa. Po prostu raz w miesiącu zbiorą się przed mikrofonem ludzie zakochani w Lublinie i będą mówili o tym, co było w przeszłości, co dzieje się teraz, jakie są perspektywy na przyszłość. Można się było spodziewać — i tak było rzeczywiście — że pewna grupa ludzi przyjdzie zawsze, inni zależnie od omawianego tematu.

Całą akcją prowadził początkowo samotnie red. Janusz Daniellak, wkrótce do tej pożytecznej akcji dołączył się „Kurier Lubelski”, najpierw piórem niższej podpisano, potem w osobie red. Al. Leszka Gzelli. Spotkania odbywały się w Rozgłośni i Janusz — bądźmy tu trochę nie dyskretni — na własny koszt fundował wszystkim obecnym kawę. Oszczędzono mu wydatku trzy razy — gdy klub w porozumieniu z władzami miejskimi urządził sesję wyjazdową w dzielnicach peryferyjnych. Kawy nie było, ale było bardzo wielu mieszkańców, którzy — o dziwo — raczej nie narzekali na to, co jeszcze im dokucza, ale wysuwali konkretne propozycje, możliwe do realizacji bez większego naruszania kiesy miejskiej.

Takich zebrań entuzjastów, zakochanych w Lublinie, odbyło się chyba 25 — nikt nie pisał protokołów, więc dziś trudno odtworzyć szczegóły. Swobodne rozmowy — nie dopuszczano bowiem do deklaracji, oficjalnych przemówień — nagrywano na taśmę. Z trzygodzinnych nieraz deliberacji na antenie można było oczywiście nadać 15 czy 20 minut, w „Kurierze” ukazywał się artykuł, felieton czy reportaż. Mówiono — dla przykładu — o patriotyzmie lokalnym, o piosenkach poświęconych Lublinowi, „twarzy miasta”, projektach architektów. Na ostatnim zebraniu w początkach maja omawiano przygotowania różnych instytucji i organizacji do obchodów 25-lecia PRL.

Od samego początku w perspektywie było przekształcenie na pół nielegalnie istniejącego klubu w Towarzystwo Miłośników Lublina. Są przecież takie czy podobne organizacje we wszystkich chyba miastach wojewódzkich i w wielu powiatowych — czy więc Kozi Gród ma być gorzej? Na zebraniach klubu bywali wprowadzili przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych — podkreślano zawsze, że jako osoby prywatne — i autorytet klubu przez to nieuątkliwie wzrastał, jednak klub nie mógł przecież występować na zewnątrz, a podejmowane przez niego akcje opierały się wyłącznie na dobrej woli zainteresowanych.

Wreszcie 14 maja odbyło się zebranie organizacyjne Towarzystwa Miłośników Lublina, na którym przedstawiono projekt statutu oraz wybrano zarząd i komisję rewizyjną. Statut zaś głosi, że:

„Towarzystwo jest organizacją społeczną, mającą na celu: a) pogłębianie w społeczeństwie umiłowania miasta przez szerzenie wiedzy o dawnym i dzisiejszym Lublinie, zaznajamianie mieszkańców z osiągnięciami rewołucyjnymi jego ludu w przeszłości oraz bohaterstwem w walce z najeźdźcą w czasach niewoli i okupacji hitlerowskiej, jak również z osiągnięciami w okresie władzy ludowej, b) wzmacnianie więzi mieszkańców Lublina więzi społecznej i rozbudzenie wśród nich zainteresowania życiem, rozwojem i wyglądem miasta, budzenie i pogłębianie patriotyzmu lokalnego, c) rozwijanie troski o mienie społeczne, d) rozwijanie współpracy z organizacjami społecznymi o podobnym charakterze w innych zaprzyjaźnionych z Lublinem miastach”.

„Kamena” która już prawie pełne 35 lat służy Lubelszczyźnie i Lublinowi, najmłodszemu a tak potrzebemu Towarzystwu życzy szybkiego i twórczego rozwoju.

(dost)

Kamena str. 7



**K**AZIMIERZ Andrzej Jaworski, nieustraszonego pisarza i tłumacza, stał się w ostatnich latach autorem dwóch niespodzianek. Jedną z nich polega na tym, że dotychczasowy poeta i tłumacz przeżył się ku prozie wspomnieliwej. Druga — na odwróceniu wspomnień, na cofaniu się wstecz, aż ku czasom dzieciństwa. Do tej pory układała się już cała trylogia pamiętnikarska, a „skrzydełko” ostatniej książki — „Wywoływanie cieni” — powiadamia, że ostatni, czwarty, tom: „Konec seansu” znajduje się już w teczce wydawnictwa. Przypomnijmy, iż cykl wspomnieniowy K. A. Jaworskiego otworzył tom oparty na przeżyciach obozowych w Oranienburgu „Serce za drutem”, a po nim ukazała się książka „W kręgu „Kamery”, poświęcona powstaniu i dziejom najstarszego z istniejących pism literackich.

Wspomnienia Jaworskiego, można sądzić, nie powstały według powziętego z góry zamiaru artystycznego, raczej układały się w wyniku reakcji łańcuchowej. Uruchomione mechanizmy pamięci i wyobraźni odsłaniały coraz nowe zasoby zdarzeń i faktów, zagubionych, zdawało się w mrokach pamięci. Nie dotyczy to tylko wspomnień własnych, bo jeśli dodać tradycję rodzinną, to oceramy się w „Wywoływanie cieni” aż o połowę zeszłego wieku, zaglądamy jeszcze do sztabucha romantycznego. Ma to dla czytelnika z 1968 r. posmak egzotyki i niepowtarzalności.

Wrażenia tego rodzaju towarzyszą zresztą w czasie czytania całej książki K. A. Jaworskiego. Zważywszy, że „Wywoływanie cieni” mówi na ostatnich stronach o człowieku z ledwo przekroczoną dwudziestką, a jakież ma on bogactwo doświadczeń osobistych, społecznych, politycznych i ideowych, jakaż zawilgość i różnorodność losów, ile zmian tła, pejzażu i miejsc! Co do tych ostatnich wystarczy jeden przykład: uczeń gimnazjum chełmskiego przebywa na wakacjach w państwie austriackim, w Zakopanem, gdzie zostaje go wybuch I wojny światowej. Młody poddany rosyjski wraca wraz z matką do Chełma przez Budapeszt i Bukareszt, a więc drogą bardzo okrężną. Niedługo potem dalsze wypadki wojenne znów urozmaicają biografię autora, następuje niedobrowolna podróż na wschód i studia medyczne na uniwersytecie charkowskim.

A narodziny pisarza? — można by tu pospiesznie zapytać? Ten narodził się już wcześniej, chociaż z perspektywy młodzieńcze utwory zostały we wspomnieniach potraktowane bezlitośnie. Właśnie literatura — obok gór — ujawniła się jako główna pasja życia K. A. Jaworskiego. Sprzyjała temu tradycja i atmosfera domu rodzinnego, także artystyczne, choć niespełnione zainteresowania matki. Toteż książki od dzieciństwa zajmowały w życiu autora „Wywoływanie cieni” ważne miejsce. Można by powiedzieć, że jego biografia jest bardzo „książkowa”, książki wyznaczały rozwój jego osobowości. Książki dziecięce i młodzieżowe ustępowały potem lekturom coraz poważniejszym, aż pojawiają się nazwiska Zeromskiego i Staffa. One przyniosły największe i najtrwalsze czytelnice przeżycia, które w pełnym blasku przetrwały przez długie lata, dał temu zresztą autor „W połowie drogi” własny wyraz poetycki. Staff stał patronem poezji Jaworskiego, natomiast Zeromski ważył na postawach ideowych, określał rodzaj zaangażowania poprzez literaturę we współczesność. O uroku lektury Zeromskiego mówi w swej książce Jaworski nie jeden raz, dodając przy tym, że jego wspomnienia czyta się miejscami jak powieść z okresu „Szyfrowych prac”. Myślę choćby o tej sytuacji: polski uczeń na polskiej ziemi uczący się w szkole rosyjskiej i po rosyjsku.

Obok bogatych lektur powstają pierwsze próby poetyckie i prozatorskie Jaworskiego. Rodzą się one na marginesie przeczytanych książek, ale szybko doszedł nowy czynnik poezjotwórczy — miłość, która we wspomnieniach zajmuje sporo miejsca, a w ostatnich partiach staje się motywem centralnym, przybierając bardzo dramatyczną postać. Te ostatnie strony należą do najpiękniejszych, najbardziej lirycznych. Liryzm osnuwa zresztą całą książkę — od kart poświęconych latom dzieciństwa, chłopięcych zabaw, młodzieńczej perypetii do zdarzeń późniejszych. Jakże często pojawiają się zdania inwokacyjne i retoryczne, wypowiadające żal za czasami, które nieubłaganie oddalają się w przeszłość. A często wybieganie w przyszłość pozbawia książkę pamiętnikarskiej oschłości i rzeczowości.

Nie da się tak zwięźle przedstawić wszystkich uroków „Wywoływanie cieni”. Książka ta wciąga, nie pozwala przerwać lektury — to jedna z miar jej wartości. Odnacza się wartościowo opowiadania niemal powieściową. Sytuacje i postacie kreślone są plastycznie, barwnie, często z domieszką życzliwego humoru. Ta ostatnia cecha mówi dużo o postawie pisarza i człowieka. Dzięki tej książce poznajemy go lepiej i pogłębiając uczucie sympatii, jaką cieszy się autor „Wywoływanie cieni” wśród nas.

Tadeusz Klak

Kazimierz Andrzej Jaworski: Wywoływanie cieni. Lublin 1968. Wyd. Lubelskie.

**O** 5 RANO słucham w hotelu radiowych komunikatów meteorologicznych. Warszawa zapowiada, że na południowym wschodzie będzie do 18 stopni Celsjusza. Z kolei Moskwa informuje, że w zachodniej części Ukrainy będzie do plus 26 stopni. Komu wierzyć, jak się ubrać w podróż? Na wszelki wypadek postanawiam trzymać się prognozy stacji rodzimej, więc biorę płaszcz i parasol. Potem przez cały dzień słońce piekło niesamowicie, grzałem się i pociełem, właściwie najwygodniej byłoby pojechać tylko w koszuli z krótkimi rękawami. A moi nowi radziecy znajomi mówili, że oni słuchają komunikatów meteo z Polski, bo się na ogół sprawdzają. Ha, widocznie na wszystkich ludzi jednakowo działa magia zagranicy i nawet pochodząca „z importu” prognoza pogody wydaje się wiarygodniejsza od towaru miejscowego.

Zanim jednakże przyszło mi żalować, że nie uwierzyłem w te 26 stopni („gdziekolwiek byś wyruszał, słuchaj rad gospodarzy” — uczył mnie kiedyś pewien doświadczony podróżnik), trzeba było przekroczyć granicę i przejść przez związane z tym formalności. Muszę przyznać, że nigdy dotychczas nie załatwiano mnie tak prosto.

O godz. 6 rano zebraliśmy się w sali posiedzeń KP PZPR w Hrubieszowie. Edmund Sak, sekretarz KP, wyjaśnia krótko:

— Jedzie nas 300 osób. Występujemy jako oficjalna delegacja powiatu hrubieszowskiego, a w ZSRR dziś jest Święto Zwycięstwa, apeluję więc do zebranych o godne reprezentowanie powiatu. W skład naszej delegacji wchodzi członekowie PZPR, ZSL, SD i obydwatele bezpartyjni, z różnych zakładów pracy, z różnych zakątków powiatu, a zatem nie znamy się wszyscy nawzajem. Proszę więc pilnować porządku wizyty i terminów odjazdów, bo jak się kto zgubi, zagada lub zabawi, to nawet nie będziemy w stanie go szukać.

Potem odczytują listę obecności, dzielą nas na grupy i przedstawiają kierowników każdej z nich. Grupa jest siedem, jedziemy mediami autokarami, wszystko jasno. Za rami jeszcze dwa duże samochody — butelki, abyśmy nie tylko mogli kupować po radzieckiej stronie za polskie złotówki, ale także postawić coś i gospodarom. Nie wiem, czy jest to w zgodzie z obowiązującymi przepisami o ruchu granicznym, przepisami celnymi i polsko-radzieckimi umowami handlowymi. Może nie powinienem więc relacjonować tego publicznie. Ale rzecz jest w zgodzie z wymogami życia.

Przed szlabanem granicznym stoi zbudowany wartownik, wcale nie zachwycony, bo przyjechało z nami kilkunastu oficerów WOP i on musi trzymać teraz fason. I stoi przed tym szlabanem, choć wokół puste pola, ze 100 cywilnych osób, prze-

ważnie kobiet. To te, które mają krewnych, znajomych czy przyjaciół po drugiej stronie Bugu, same nie należą do delegacji, ale liczą, że może uda im się jakoś przedostać „na waleta” na prawy brzeg rzeki. (Co oni tam w Hrubieszowie mieli z ustaleniem składu delegacji, trudno opisać — pół powiatu chciało jechać!) WOP-iści denerwują się, gdyż taki tłumek będzie utrudniał im odprawę osób udających się za granicę.

Punktualnie o godz. 9 stawiają się oficerowie radziecy. Polscy oficerowie, w ich towarzystwie, odczytują listę. Pokazując dowody osobiste przechodzimy na radziecką stronę. Witają nas przedstawiciele władz rejonu włodzimierzowskiego, śliczna dziewczyna w kwiecistym, ukraińskim stroju ludowym podaje chleb i sól, orkiestra gra Mazurka Dąbrowskiego. Obdarowują nas kwiatami, my wręczamy kwiaty przywiezione ze sobą. „Cześć Stasiu, cześć Franu, zdrastuj Stiepan”. Co chwila ktoś kogoś ścisną, całują się, potraszają sobie ręce. Widzę, że prawie na każdego z naszych ktoś tu czeka. I widzę, że nasza delegacja jakoś nieoczekiwanie powiększyła się. Dopiero potem dowiaduję się, że oni tam, to znaczy ci pogranicznicy polscy i radziecy, przepuścili na radziecką stronę także tych „waletowiczów”. Mają uprawnienia, które pozwalają im w specjalnych wypadkach na własną rękę zezwalać na przekroczenie granicy (np. w czasie pożaru — straż z jednej strony może jechać na pomoc drugiej, itd. itd). Skorzystali z tych uprawnień, podobno nie pierwszy raz. Być może znów niedyplomatycznie o tym pisał, ja jednak myślę, że sprawa ta ilustruje w sposób charakterystyczny stan wzajemnych stosunków i wzajemnego zaufania.

Wies, w której nas witano, nazywa się Uściług. Teraz jedziemy do Włodzimierza. Krajobraz ten sam, tylko szosa (do Zosina były koczki liny) i pola nie pocięte w taką drobną szachownicę upraw. I już jesteśmy w Włodzimierzu. Drogowiczy na ulicy Kowelskiej wskazują: „Kowel — 32 km”, „Brześć — 180 km”, „Luck — 75 km”. Przechodzimy pod Pomnikiem Chwały, wzniesionym ku czci żołnierzy i partyzantów radzieckich. Jest to wysoka iglica z czarnego marmuru. W płycie u podstawy mały otwór, z którego słychać dźwięki jakiegoś chóru. Przy pomniku warte honorową trzyma przybyle wojsko, cywile obwieszeni medalami (to weterani II wojny światowej) i młodzież. Zapraszają nas na trybunę. Powietrzem wstrząsa kilka salw artyleryjskich. Rano, kiedy słuchałem dziennika radiowego z Moskwy, rozkaz ministra obrony ZSRR wymieniał miasta, w których oddany zostanie honorowy salut. Włodzimierz wśród nich nie było. Lecz co to za Dzień Zwycięstwa bez armat? Władze miejskie zaprosiły na uroczystość pewnego generała, poprosiły, żeby postarł się o parę „puszek”. Słuchamy więc salutu zorganizowanego w ramach inicjatywy oddolnej. Potem przemawiają przedstawiciele władz rejonu, potem goście z Polski, i na koniec generał, ten, co to wypoyczył „puszki”.

Pochód jest krótki. Przechodzą tylko poczty sztandarowe organizacji społecznych, instytucji i zakładów pracy oraz młodzież szkolna. Niosą wielkie portrety Marksa, Engelsa i Lenina oraz małe — takie, jak wieszają się w biurach — przywódców ZSRR i przywódców Ukraińskiej SRR. Trochę transparentów z powtarzającymi się na ogół hasłami „Haj żywe marksizm — leninizm!”, „Haj żywe komunizm!”, „Haj żywe radiańsk Ukraina!” oraz — zrobionymi zapewne z myślą o nas — „Haj żywe radiańsko — polska družba!”. Na domach na Kowelskiej widać transparenty „9 trawnia — dzień pieremogi!” (9 maja — dzień zwycięstwa). Pionierzy maszerują w białych koszulkach i różnokolorowych furażerkach. Kolor oznacza specjalizację każdej drużyny. Ci w niebieskich zajmują się problematyką morską, utrzymują kontakty z flotą handlową i wojenną.

Jechałem na tę wyprawę z myślą o napisaniu o samym mieście. Wyprawa miała być jednodniowa. W ciągu jednego dnia za wiele zobaczyć nie można, jednak zawsze trochę... Lecz spotyka mnie zawód. Jest już godzina 13 naszego czasu, a tu zapowiadają, że teraz nasza grupa uda się na zwiedzenie kolchozu „Komsomolec”.

Postanawiam zostać we Włodzimierzu. Czasu mam, niestety, niewiele, o godz. 15 muszę być w Uściługu. Gospodarze dają mi przewodnika w osobie Iwana Omelczenki, z zawodu nauczyciela języka angielskiego. Wania zna miasto jak własną kieszeń, ale zamiast wejść w swoją rolę, mówi, że musimy natychmiast zjechać obiad, bo według ich zegara jest już godz. 15 i jemu żołądek przyrósł do krzyża, a Ukrainiec jak głodny to zły. Wie, że Polak jak głodny to też zły. Idziemy do „Družby”. Restauracja jak u nas w powiatowym mieście, ale bardzo czysta; kryształowy żyrandol pod sufitem. Ludzi dużo, przeważnie całe rodziny. Kilkanaście dań gorących, przekąski, bardzo bogaty wybór win radzieckich i zagranicznych oraz znacznie mniejszy — wódek i koniaków. To zapalenie w wino zaskakuje mnie, bo przecież powszechnie wyobrażamy sobie, że Ukraińcy, podobnie jak i Polacy, lubują się przede wszystkim w wódkach. Druga miła niespodzianka to całe stopy rzodkiewki i sałaty.

Jemy, a Wania mówi o mieście. Przed wojną Włodzimierz Wołyński zamieszkiwało 35 tys. ludzi. Miasto uległo poważnemu zniszczeniu wskutek działań wojennych. Niemcy wymordowali wielu Ukraińców i Polaków oraz niemal wszystkich Żydów. Po wyzwoleniu było 7300 mieszkańców, dziś już 30 tys. Śródmieście jest prawie w całości nowe, składa się z 3-4-piętrowych bloków. Peryferie to małe domki jednorodzin-

# W Kraśniku Fabrycznym omnibus absolutny

(Ciąg dalszy ze str 1)  
— powiada. I sala się znajduje, bo raczej musi się znaleźć.  
„Kto chce, nami rządzą, kto chce, się wtrąca, a pieniędzy ciągle mało!” — mówią w ZDK. I tu najbardziej dramatyczny moment SPRAWY — batalia pod hasłem: „dać albo nie dać!”, czyli bitwa o fundusze. Jak na porządny dramat przystało, rzecz dzielił się na głosy.

Administracji zakładu głos zdecydowany: fabryka może — w ramach przepisów — pokrywać i pokrywać, wyłącznie koszta gospodarze, związane z utrzymaniem obiektu (tj. domu kultury) — m.in. place etatowych pracowników, remonty, zużycie energii itp. Wysokość dotacji ustala zjednoczenie. W r. 1967 wydaliśmy 1 200 000 zł, na rok 1968 zaplanowaliśmy 1 300 000 zł. Koniec, kropka.

Rady Zakładowej głos pełen „ale”: powinniśmy finansować, i finansujemy, działalność merytoryczną domu kultury (oświatową i artystyczno-rozrywkową), ale szereg sum dajemy także na cele administracyjno-gospodarcze. ZDK

przynosi pewne zyski, ale musimy planować dotacje (np. w r. 1968 zaplanowaliśmy 62300 zł). Na działalność merytoryczną potrzeba większych sum, ale budżet związków zawodowych ma raczej niedobory niż rezerwy. Fabryka może odprowadzać pewne sumy z funduszu zakładowego na poczynienia merytoryczne ZDK, ale tego nie robi. Istnieje praktyczna potrzeba przejścia ZDK pod jedną kuratelę finansową (Rady Zakładowej), ale przy istniejących przepisach jest to niemożliwe... itd. itp.

ZDK głos tragiczny w tonacji „dać”: w planowaniu finansów na działalność merytoryczną wysokość wydatków musi się pokrywać z wysokością dochodów. Dopiero jeśli nie osiągniemy planowanego zysku, różnicę (zredu kilku tysięcy zł) reguluje Rada Zakładowa. Sensowne natomiast planowanie poczynił merytorycznych musi się opierać na dotacjach: w tym roku remont obniży dochodowość kina i po raz pierwszy Rada Zakładowa przezwyciężyła dotację — 25 tys. zł. Dotacje Rady Zakładowej są w ogóle zbyt niskie (a posiada ona możliwość pewnych przesunięć w ramach swego budżetu). Zaś z funduszu zakładowego fabryki nie otrzymujemy nic, a np. świdnicki ZDK otrzymuje...

Cała ta SPRAWA wykracza — jak widać — poza sam Zakładowy Dom Kultury, jest oczywiście wmontowana w konkretny teren miasta, wiąże się z dużym obiektem przemysłowym — wiąże się z ludźmi.

Tymi kwestiami muszę nieco pomniejszyć czytelnika. Gdy się bowiem wraca z tzw. terenu, człowiek przestaje być pięknoduchem beztroško wachającym kwiatki kultury.

Oto Kraśnik Fabryczny — dawniej skromna osada (Dąbrowa-Bór), dziś niezłe zagospodarowane 15-tyśięczne miasto (od 1954 r. — prawa miejskie i obecna nazwa, w r. 1955 — 6800 mieszkańców), usytuowane w okolicy rolniczej (58% powierzchni powiatu zajmują grunty orne, 23% — lasy). Miasto wyrosło i rozwija się przy dużym zakładzie produkcyjnym (Kraśnicka Fabryka Wyrobów Metalowych, która sfinansowała budowę wielu obiektów socjalno-kulturalnych w mieście — m.in. właśnie ZDK). Są tam cztery hotele robotnicze. Są — prawie wyłącznie — nowe bloki mieszkalne (budownictwo miejskie, spółdzielcze i zakładowe), domki jednorodzinne. Jest — jak to się mówi — masa zieleni. Bardzo duży wskaźnik posiadaczy telewizorów i samochodów. Zwykle w mieście przedsiębiorstwa — spółdzielczość pracy, MHD, PSS, Baza osobowa PKS-u. Szkolnictwo podstawowe i ogólnokształcące. Dobrze rozwinięta sieć biblioteczna. Kawiarnia, kino związkowe-sala widowiskowa (przy ZDK). Przed kinem długowłosi abajkowie oczekujący nie wiadomo na co. Jedna knajpa, „Stylowa”, gdzie zjadłem obiad (tanio się jada na tej prowincji) i gdzie przy którymś ze stolików siedział towarzystwo w drelkach, tego zaprawione, choć pora wczesna i poniedziałek — dzień kacowy i bezmieśny. Poczułem się więc swolsko, a miasto spodobało mi się i przed obiadem.

Następnie — sama fabryka, jeden z poważniejszych obiektów przemysłowych w kraju (jako KIEWM uruchomiona w r. 1949). Zakład nowoczesny, idący w kierunku skrócenia czasu pracy, przy tym dynamiczny, ciągle rozwijający się, co pięknie ilustrują planse wzrostu produkcji umieszczone w pobliżu. Pracuje się na trzy zmiany, i stale brak robotników (przeclenie 100 osób). Zato-

ga stosunkowo młoda, w pełni tzw. wieku produkcyjnego. Spośród pracowników fizycznych 3 000 osób dojeżdża do zakładu z bliższej lub dalszej okolicy. Status społeczny dojeżdżających — głównie chłop-robotnik, mieszkaniec wsi, posiadacz małego gospodarstwa, które nie zapewnia mu wystarczających środków utrzymania, traktujący zajęcie w fabryce jako dodatkowe źródło zarobku. Jako możliwość inwestycji we własnym gospodarstwie rolnym. Są kłopoty, charakterystyczne dla tego rodzaju zakładu. Trudności w zakresie transportu chłopów-robotników do pracy i z pracy — fabryka tylko w połowie zapewnia środki przewozu (umowa z PKS-em), ludzie oczekują na samochody do 50 min. Kto ma bliżej, ten korzysta z transportu... apostołskiego, część dojeżdża we własnym zakresie. I w końcu — duża płynność kadry (29 zwolnień na każdych 200 zatrudnionych), szczególnie wśród pracowników fizycznych z produkcji. Wiek odchodzących — w 65% ludzie do 21 lat. Miejsce zamieszkania odchodzących — w 60% wies, reszta — Kraśnik Fabryczny i Kraśnik.

Bo jest i Kraśnik (zwany „starym” albo „lubelskim”), oddalony o 10 min jazdy PKS-em. Około 15 tys. mieszkańców. Siedziba władz powiatowych oraz Powiatowego Domu Kultury, działającego głównie na odcinku poradnictwa w pracy kulturalno-oświatowej.

Po dokonany przeglądzie zasadniczych elementów SPRAWY czas na jej zbilansowanie.

Zdrowy rozsądek podpowiada, że skoro obok sieci wojewódzkich, powiatowych i gromadzkich domów kultury utworzono, przy większych obiektach przemysłowych, placówki zakładowe (będące w końcu działami pozaoperacyjnymi fabryk), to liczone, iż przede wszystkim placówki te będą spełniać specyficzne i konieczne funkcje kulturowe w obrębie społeczności zakładów.

Humanizacja pracy. Integracja środowiska fabrycznego, adaptacja młodych w tym środowisku. Adaptacja elementu ze wsi w środowisku fabrycznym i miejskim, i dla tego środowiska, co musi dotyczyć nie tylko mieszkańców „miast przyzakładowych”, ale również chłopów-robotników, których mamy w całym kraju 900 000 (jak powiadają ludzie rzeczy tej przytomni, war-



Kurs języka angielskiego



Musimy swoją Ojczyznę  
pachnącą różami i chlebem  
wprzód nakryć  
własnym sercem  
jak gdyby drugim niebem  
JAN POCEK

Nr 2 (5)

9 VI 1968

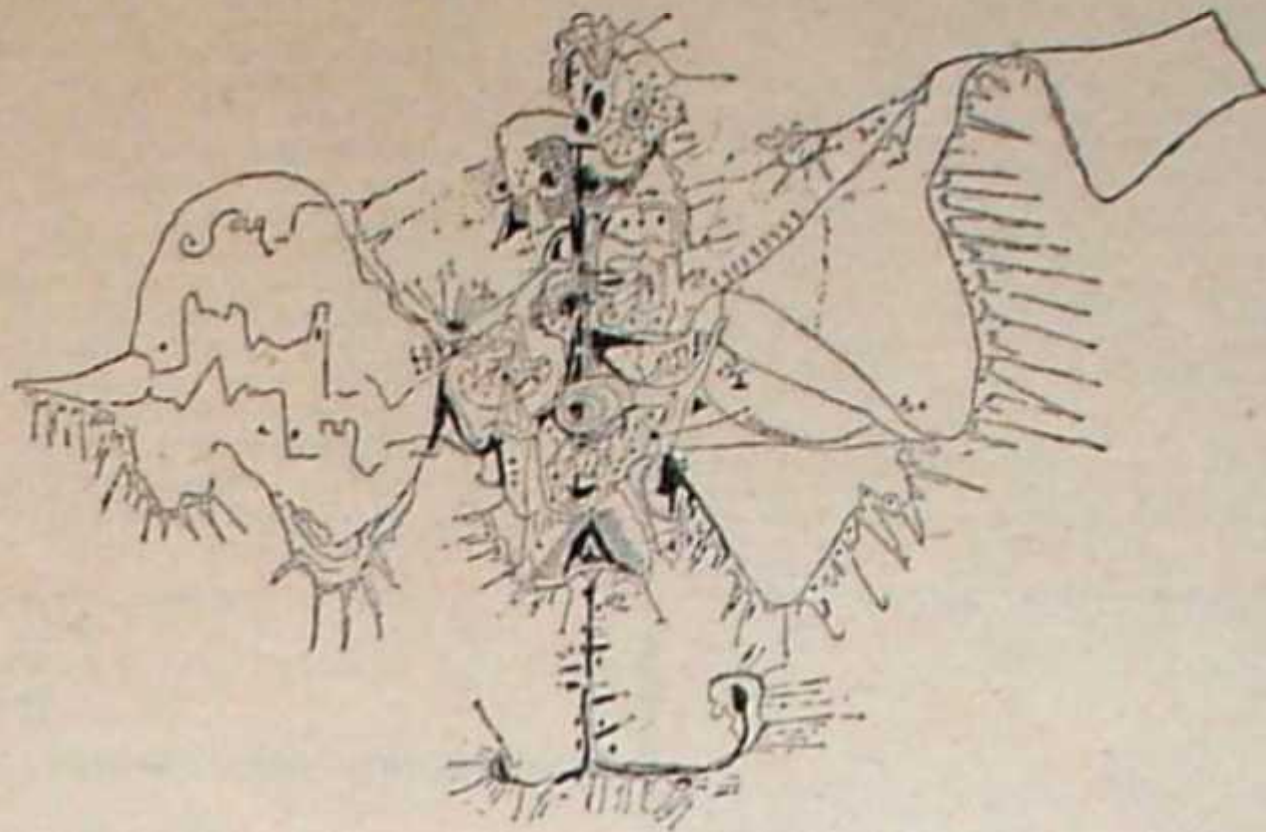
Rok II

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy – Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW

Zbigniew Strzałkowski

## Klechda

1. Otworzył nasienie czwórplątne: wypłynęły stada łuk  
Jako ostatni wszedłem w ogrody — szukałem formy niepokalanej.
2. Dozwolił mi być przestrzenią.  
Wracałem z głęboką szramą w pamięci — mogą znów rozstrzelać za nic.
3. Widzę jak twarz ojca w mosiądzu stygnie. Jest ptakiem.  
Za mną zmięty pejzaż kona — ostre gwizdanie od skał wciąż powraca.
4. Czuję jak szwy we mnie pękają.  
Odległe tchnienie prehistorii skórą blaszaną na mnie się nakłada.
5. Ptak mówi głosem Jeremiasza.  
Ptak był człowiekiem.  
Człowiek jest skałą przy której spoczął anioł stworzenia.  
Rozwijając skrzydła w tryptyk polski:  
Górska gwiazda wieździe kobietę z dzieckiem przez gąszcz.  
Spadziste echa mylą kroki goniącym.
6. Przekroczyłem granice bieli — matka ze mną kona.  
Zdejmuje ciało dorosłe i jako dziecięce w kolanach owija.  
Smutni pasterze wokół.  
Noc pustym wołaniem przybliży wszystkie skonaną jakie były.



Rys. Zbigniew Strzałkowski

## Notujemy...

**W** TEGOROCZNYCH Dniach Osiaty, Książki i Prasy członkowie ośrodka lubelskiego KKMP wzorem lat ubiegłych podjęli akcję spotkań autorskich i odczytów w wiejskich klubach „Rolnika” i „Ruchu”.

W spotkaniach organizowanych przy współpracy TWP udział wzięli kol. kol. Krystyna Makuła-Trochimiuk, Anna Buczek, Jerzy Jedziniak, Marian Karzmarczyk, Henryk Sienkiewicz, Zbigniew Strzałkowski, Stanisław Łukowski, Roch Sęczawa, Stanisław Jędrzych, Wacław Gutowski i Stanisław Weremczuk.

Nakładem KKMP przy ZG ZMW ukazała się ostatnio w LSW m. in. witrażna poetycko-plastyka — „Portret z ptakiem”, prezentująca wiersze Anny Tokarskiej oraz grafikę członka naszego Klubu, młodego lubelskiego poety i plastyka Zbigniewa Strzałkowskiego.

Niebawem ukażą się witraży zawierające poezję kol. kol. Krystyny Makuły-Trochimiuk i Stanisława Łukowskiego, członków naszego Klubu. Przypominamy, że edycje KKMP można nabyć w księgarniach, lub pisząc na adres Powszechnej Księgarni Wysyłkowej, Warszawa, ul. Nowolipie 4.

J. J.

Krystyna Makuła-Trochimiuk

## Mamie mojej od łez

do łez jesteś bardziej  
niż do śmiechu  
rzeko ciepła  
z tatarakiem  
włosów  
na białych poduszkach  
puchach kaczycy  
albo ta smukła  
dama z lasiczką  
damo  
moich salonów  
z fontannami mydlin  
w wielkie huczne pranie  
albo tak  
dostojna moja katedra  
w mozaiki z kamyczków  
ja pylek zielony  
będę ci śpiewać rzewnie  
piękna piękna moja.

Stanisław Andrzej Łukowski

## Wspomnienie dzieciństwa

zabolało mnie dzieciństwo  
zadymilo  
głównią płowych lat  
poszybowało  
  
drzewem przeszło  
słonecznym okiem kota  
ręką matki  
szorstką i tkiwą  
  
zabolało  
zadymilo  
przebiegło  
tupiące zdartymi butami

Stanisław Weremczuk

## U brzegu

Nie spłynę śniegiem  
nie odejdę doliną  
los wbił mnie w pole  
jak słup  
  
Stać będę świadcząc braciom  
na zawieszenie chlebaków służyć  
by plecy mogli prostować  
wskazywać drogę  
  
Gdy zniszczę od stoty i skwaru  
a zniszczyć trzeba  
plama czarnoziemu zostanie  
Okrągła pieczęć

Jerzy Jedziniak

Zanim położą kwiaty  
chcę pieśń  
wschodów i zachodów

rozwieść jak sztandar  
w pochodzie  
dni moich

Zanim położą kwiaty  
chcę dumkę  
w szeroki step tęsknoty  
do siodła przytroczyc

Nim trawa pamięć porośnie  
w galopie puszczony wodze  
— co mi tam wiatr —

Dominik Opolski

## Zboże

Zboże moje  
weź mnie w ramiona  
unieś do ust  
chleba  
mojego powszedniego...

Tak konać powszednie w ustach  
spragnionych  
Wzlatywać nad owoc  
dojrzewający w powiekach  
u źródłanych źrenic  
kwiatu  
dźwięczącego pod palcami.

**W** KALENDARZU życia i twórczości Władysława Broniewskiego nie może zabraknąć kilkuset spotkań autorskich, jakie poeta odbył na przestrzeni ostatnich lat swojego życia. Mimo poważnej choroby serca, mimo swoich 60 lat zawsze chętnie jechał w teren bez względu na odległość, porę roku i środek lokomocji. To, co cechowało jego wiersze: dynamizm, żywiołowość oraz uczuciowość w skali od Konrada do Gustawa, było wiernym odzwierciedleniem Broniewskiego jako człowieka. Zjednywało mu opinię wiecznego rewolucjonisty o niespotykanej wrażliwości uczuciowej.

Mocno siwiejące włosy, prześwitujące skronie, prostokątna ostrych rysach twarz. Sniadoszara cera. Sine usta. Błyszące, o ruchliwych białkach oczy. Krepa sylwetka. Jednorzędowy siwy garnitur, biała koszula, siwy krawat i granatowy kamizelkowy sweter — oto jakiego najczęściej widzieliśmy Broniewskiego czytającego swoje wiersze.

Poeta za każdym swoim wyjazdem w teren nie tylko na Lubelszczyznę był wprost eksploatowany do granic swojej fizycznej wytrzymałości. Dla przykładu plan spotkań w Lublinie dn. 13.XII.1959 r. (niedziela) — 15.XII.1959 r. (wtorek):  
godz. 10-13 sala KW PZPR spotkanie z aktywnym szkolnym ZMW — delegacji z całego województwa.  
godz. 16-17.30 Studium Nauczycielskie im. A. Struga — spotkanie z uczelnianym koletem ZMW i młodzieżą studencką.  
godz. 18-20 Klub przy Krak. Przedmieściu 32 — poeta uczestniczy w wieczorze autorskim Ryszarda Pawlaka, Zbigniewa Zaborskiego oraz grupy PROM.

Nocleg w hotelu „Lublinianka” i dzień następnym: poniedziałek 14. XII.1959 r. Rano wyprawa do Jastkowa (patrz również: Wacław Gralewski — „Ogniste Kola”, Lublin 1963 s. 62-71). Tu „odwiedziny kolegów” i wczesnym popołudniem powrót do Lublina. Godz. 16 i 18 spotkanie ze społeczeństwem Lublina w sali konferencyj-

nej KW PZPR, a we wtorek rano 15.XII.1959 wyjazd do Chelma i seria spotkań w województwie.

Pobyt w grudniu 1959 r. nie był ostatnią wizytą poety na gościnnej Ziemi Lubelskiej. Broniewski odwiedził Lubelszczyznę niemal regularnie dwa razy do roku. Robił to najchętniej wczesną wiosną i późną jesienią. To, że tu chętnie przyjeżdżał i czuł się „jak u siebie w domu”, to niewątpliwie zasługa organizatora większości

Proszę zwrócić uwagę, iż poeta jednego dnia potrafił uczestniczyć w spotkaniach autorskich w kilku różnych miejscowościach często odległych od siebie o kilkadziesiąt kilometrów.

Oto trasa ostatnich spotkań dnia 12 listopada 1960 r.

godz. 15-16.30 Lublin — Studium Nauczycielskie — na spotkaniu 200 osób.  
godz. 18-19.30 Opole Lubelskie — spotkanie z uczestnikami Zjazdu ZMW. Na wieczorze 100 osób.

ski rozpoczął 14 stycznia 1961 r. i jeszcze tego dnia odwiedził:

o godz. 13-14 Żalutya — Zasadnicza Szkoła Mechanizacji Rolnictwa — osób na spotkaniu 200.  
o godz. 14.30-15.40 Leśną Podlaskę — Liceum Pedagogiczne — osób 450.  
o godz. 18-20 Jabłoń — Państwowe Technikum Rolnicze — 200 osób.

Dnia 15 stycznia 1961 r.

godz. 11-13 Szczepieszyn — Liceum Pedagogiczne — 400 osób.  
godz. 15-17 Zwierzyniec — Technikum Przemysłu Leśnego — 200 osób.

## Broniewski na Lubelszczyźnie

Waldemar Michalski

spotkań poety a mianowicie Zarządu Wojewódzkiego TWP i ściśle współpracującego z nim Zarządu Wojewódzkiego ZMW. Obie te organizacje umożliwiały Broniewskiemu docieranie do najodleglejszych zakątków województwa.

Na podstawie ankiet prelegentów TWP uprzejmie udostępnionych mi z Archiwum Wojewódzkiego Towarzystwa (obawiam się, że ankiety te niebawem podzieli los innych starych biurowych dokumentów, a mianowicie zostaną przekazane na makaturę — proponuję, aby zainteresowała się nimi jakaś stała ekspozycja pamiątek życia literackiego, może np. organizująca się w Lublinie Muzeum im. Józefa Czechowicza) oraz w oparciu o informacje uzyskane od wielu osób, w tym szczególnie od sekretarza ZW TWP mgr Jana Drużka, który niemal zawsze towarzyszył poecie w wyjazdach, mogłem ustalić i odtworzyć trasę ostatniego pobytu Broniewskiego na Lubelszczyźnie jesienią 1960 i wiosną 1961 roku.

Dnia 13 listopada 1960 r.

godz. 11-13 Kraśnik — narada powiatowa ZMW — 100 osób.  
godz. 15-17 Kraśnik — Dom Kultury — 300 osób.  
godz. 18-20 Tarnogród — Dom Kultury — 400 osób.

W tej serii spotkań pobyt poety w Tarnogrodzie miał wyjątkowo uroczysty charakter. Broniewski wspominał to spotkanie jako jedno z najprzyjemniejszych w życiu. Mimo iż przyjechał tu o godzinie wcześniej niż zaplanowano, sala Domu Kultury nie mieściła wszystkich chętnych usłyszenia i zobaczenia wielkiego poety. Spotkanie transmitowano przez miejscowy radiowęzeł. Gościa przywitano kwiatami i marszem generałskim w wykonaniu miejscowej dętej orkiestry. Poeta mówił na przemian z recytującą jego utwory młodzieżą. Orkiestra też nie próżnowała, a w punkcie kulminacyjnym spotkania wótrowała chóralnemu „Sto lat”. Poeta z trudem powstrzymywał łzy wzruszenia. Zegnano go hymnem narodowym...

Kolejną serię spotkań Broniew-

Dnia 16 stycznia 1961 r.

godz. 11-13 Puchaczów — Szkoła Podstawowa — 350 osób.  
godz. 16-18 Puczelarska Wola — Liceum Puczelarskie — 250 osób.  
godz. 19-21 Świdnik — (lokal?) — na spotkaniu wg ankiety TWP 450 osób.

I te spotkania dostarczały poecie niezapomnianych wrażeń. Szczególnie Zwierzyniec i Szczepieszyn często wspomina. Zwierzyniec dzięki wspaniałemu kullgowi, który zorganizował poecie miejscowi leśnicy i uczniowie Technikum Leśnego. Trasa wiodła szlakiem partyzanckim przez najcięższe zakątki Puszczy Bukowej. Las pod 2 metrową warstwą śniegu dostarczał mocnych i zaskakujących wrażeń. Z kolei Szczepieszyn: miły personel Liceum Pedagogicznego oraz przyszłe nauczycielki podejmowały Broniewskiego w atmosferze rodzinnej serdeczności. Kwiatów nie było — były calusy! Poeta mówił zachwycony: „To miłsze od kwiatów. Ach, gdyby tak jeszcze do Szczepieszyna” — wspominał później...

Niestety, trudy dojazdów, nadmiar spotkań a może i miłych acz szkodliwych sercu wrzuseń doprowadzają do wypadku, który omal nie kończy się tragicznie. Przy kolejnej próbie wyjazdu w teren (powiat biłgorajski) poeę chwytają w samochodzie gwałtowny atak choroby. Serce odmawia posłuszeństwa — Broniewski traci przytomność! Nocą po zaśniętej i oblodzonej drodze pełnej podjazdów i wiraży z szybkością 110 km na godz. kierowca TWP, Stanisław Kozłowski, pędzi służbową „Warsawą” do szpitala w Lublinie. Decydująca minuta. Poeta jest już w szpitalu. W kilka dni później, jeszcze w szpitalu Broniewski obiecuje sekretarzowi TWP: „Gdy tylko będę mógł, dokończymy spotkania, daję słowo!”. Toteż natychmiast po wyjściu spod opieki lekarzy zjawia się w Lublinie. Jest 11 i 12 czerwca 1961 r. — to już, niestety, ostatni pobyt poety na Ziemi Lubelskiej — pobyt nie mniej pracowity od poprzednich. Oto ostatnie na Lubelszczyźnie spotkania:

11 czerwca 1961 r.

godz. 10-12 Lublin — Szkoła Przynależności Zawodowej nr 2. Na spotkaniu 200 osób. Poeta wpisuje się do księgi pamiątkowej i ofiarowuje swoje zdjęcie z autografem.  
godz. 14-15 Natęczów — Dom Kultury — osób 150.  
godz. 18-19.30 Zaklików — Liceum Ogólnokształcące — 180 osób.

i ostatni dzień 17 czerwca 1961 r.:  
godz. 10-12 Wierzyce — Liceum Ogólnokształcące — 400 osób.  
godz. 15-16.30 Pärzew — Zakładowy Dom Kultury — 400 osób.  
godz. 19-20.30 Milanów — Liceum Ogólnokształcące — 150 osób

W osiem miesięcy później dnia 10 lutego 1962 r. radio podało tragiczną wiadomość: „...zmarł Władysław Broniewski...”. Poeta który Ziemię Lubelską szczególnie polubił.



# Pałac w Rusinowie

**W**OJEWÓDZTWO kieleckie posiada wiele zabytków dawnej kultury — pałaców, dworów, kościołów, uznanych dziś za cenne obiekty architektoniczne naszej przeszłości historycznej. Niektóre z nich są bardzo okazałe i bogate, inne skromniejsze. Do tych ostatnich należy pałac w Rusinowie, leżący na skraju województwa, w powiecie Przysucha. Nie nosi on wszystkich cech pałacu, tak jednak powszechnie jest nazywany.

Objęty on został w r. 1850 spisem inwentaryzacyjnym, jako zbytek podlegający opiece i konserwacji Wydziału Kultury. Sporządzony wówczas katalog, wydany w r. 1908, podaje, że budowa pałacu w Rusinowie przypada na ostatnie ćwierćwiecze XVIII w. Jest on budowlą wczesnoklasycystyczną murywaną, parterową, z mieszkalną mansardą. W elewacji frontowej półkolisty ryzalit, rozczłonkowany pilastrami toskańskimi, a attyka zwieńczona dekoracją trzebiarską. Na kartuszu umieszczone są herb Rawy i Leliwa. Pałac otoczony jest pozostałościami regularnego założenia parkowego z XVIII w. z dojazdową aleją lipową i resztkami starodrzewia.

wpływ miało spotkanie się z wybitnymi w owych czasach artystami — architektami: Jakubem Fontaną i Dominikiem Merlinim. Uczniem jego był znany malarz i rysownik Zygmunt Vogel.

Z zaprojektowanych przez Naxa prac wymienić należy w Lubelskiem — Opole i Naleczów, w Kieleckiem — Szczękociny, Kurozwęki, Sładków i Rusinów. Architektura pałacu w Rusinowie zajmuje się w wielu swych pracach prof. Tatarkiewicz. Twierdzi on, że Nax stosował te same formy powtarzając je często bez zmian; ten sam półkolisty szczyt, te same kolosalne pilastry, podobny lamany dach, te same zaczątki klasycyzmu i te same reminiscencje rokokowe.

Pałac w Rusinowie przekazany został przez Urszulę Dembińską, córkę Salomei, która wyszła za mąż za generała Józefa Wielhorskiego. Gen. Wielhorski, dawny uczestnik walk legionów Dąbrowskiego i wojen napoleońskich, był osobistością wybitną i zajmował kierownicze stanowiska w rządzie Królestwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. W ostatnim okresie swego



Budowę pałacu około r. 1780 podejmuje Urszula z Morsztynów Dembińska, ówczesna właścicielka Rusinowa. Jak podaje „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego”, była to kobieta słynna z urody, rozumu i niepospolitej energii. Żywo interesowała się sprawami publicznymi. Umiała nie tylko administrować swym majątkiem, ale i wywierała znaczny wpływ na sejmiki Ziemi Krakowskiej i Sandomierskiej. Jest ona znana w historii jako starościna woiłbromska, piastuje ten tytuł nie tylko za życia swego męża Franciszka, ale i później, po jego śmierci; w uznaniu zasług tytuł ten zostaje jej przyznany dożywotnio w r. 1789.

Budowa pałacu w Rusinowie dokonana została według projektu architekta F. J. Naxa, który w r. 1774 został mianowany architektem królewskim. Fryderyk Nax (1726—1810), człowiek niepospolity, wielostronnie wykształcony, był hydraulikiem, mechanikiem, ekonomistą i pisarzem politycznym. Architektura była jedną z dziedzin, na której się znał i którą uważał za podstawę swej pracy zarobkowej. Na działalność jego w tej dziedzinie duży

życia pełnił funkcję ministra wojny. Przebywał on często w Rusinowie, a po złożeniu stanowiska ministra w roku 1816 osiadł tam na stałe.

Z dziejami pałacu rusinowskiego związana jest później osoba syna generała, Józefa — kompozytora, autora wielu utworów na fortepian.

Pałac rusinowski znajdował się w posiadaniu rodziny Wielhorskich do roku 1851. Od tej chwili drogą sprzedaży i parcelacji Rusinów wraz z pałacem przechodził w ręce innych właścicieli. W czasie dwóch ostatnich wojen pałac uniknął zasadniczo zniszczenia i dewastacji i jest do dziś zamieszkały. Zaliczony został ustawą z dnia 15 lutego 1922 r. o ochronie dóbr kultury i o muzeach oraz spisem zabytków architektury i budownictwa do kategorii II, która obejmuje obiekty ważne dla danego regionu. W tym charakterze podlega on opiece Woj. Konserwatora Zabytków w Kielcach, który właśnie ostatnio rozpoczął pierwszą fazę robót remontowych — rekonstrukcję więzby dachowej.

E. D.

# Oświadczenia

Ernest Dyczek

**R**AZ jeszcze przeliczyłem gotówkę — tak, pozostało tylko sześćdziesiąt dwa złote — a mam spotkanie z Genowefą. Jest to bardzo ważne spotkanie — dziś trzeba mi się oświadczyć... a mam tylko sześćdziesiąt dwa złote. Bardzo nie lubię pożyczyc pieniędzy — teraz jednak musimy się zastanowić, kogo też można by było naciągnąć. Po chwili dałem spokój — to nie miało sensu; wszyscy moi znajomi to albo studenci z akademika, albo sknery. Dochodzi osiemnasta — o dziewiętnastej mam się spotkać z Genowefą w parku pod „Pegazem”. Spoglądam w lustro. Kilku dniowy zarost nie wygląda zachwycająco. Namydliłem twarz i niedbale zaczęłem zgarniać pianę wraz z zarostem. Szorstkie policzki wymarowałem tylko nioveą — Genowefa nie lubi zapachu kolońskiej wody. Ale niewesoło — w kieszeni tylko sześćdziesiąt dwa złote, a ja muszę się oświadczyć. Genowefa uprządkuje jest wyrozumiałą dziewczyną — ale przecież kobieta... a ponadto zna już życie; jej zdanie w tym wypadku może być inne niż moje chęci. A może odłożyć tę imprezę, odwleć, pozostawić wypadkom? Każda sprawa ma jakieś rozwiązanie, jakieś zakończenie, a to przecież nie najważniejsze — jakie. Niedbale narzuciłem na grzbiet przybrudzony prochowiec i wyszedłem z mansardy.

Wczesna jesień zrzuciła liście, nawiała mgłą i chłodem. Co też można kupić za sześćdziesiąt dwa złote?

Gdzie za tę kwotę można spędzić przyjemny wieczór? Kawiarnia: dwie kawy, cztery ciasteczka... Genowefa nie lubi zwykłych ciastek; więc dwa torty, cztery lampki wina — siedemdziesiąt pięć to najlepsze. Restauracja: kolacja, kawy... nie, nie — z sześćdziesięcioma dwoma złotymi nie sposób się obejść. Wskoczyłem do nadjeżdżającego tramwaju, i ubyłoby całych pięćdziesiąt groszy. Genowefa lubi się bawić, proponuje z prężnością dancing — a tu tylko sześćdziesiąt dwa złote... nie, sześćdziesiąt jeden i pięćdziesiąt groszy. Obrzydliwa sytuacja, a ja mam się dzisiaj oświadczyć — muszę; to przecież postanowione, przemysłane, rozważone.

Wokół pomnika tylko liście. Chodzę naokoło i miętoszę w kieszeni pięćdziesięciozłotowy banknot i bawię się bilonem. Duża wskazówka stoi nieruchomo na dziesiątce.

— Pan może czeka na Genię?

Nie spostrzegłem, kiedy do mnie zbliżył się ten młody facet, z głową utuloną w postawiony koltan, a może po prostu nie zwróciłem uwagi.

— Chyba tak.

— Jestem bratem Geni. Miała atak ślepej kieszki i odwieśli ją do szpitala.

— Tak... Co?... ach tak, do szpitala pan mówi, do którego szpitala?

— Wie pan... po prostu zapomniałem zapytać, ale dowiem się i pana zawiadomiam...

— Nie nie, nie trzeba, sam zatwierdzię... zresztą teraz to już nie ważne. Do zobaczenia.

Gwałtownie się odwróciłem i spiesznie oddaliłem od tego faceta, który stał jakoś dziwnie unieruchomiony; a potem już biegłem w kierunku światła. Pomyślałem: za sześćdziesiąt dwa złote można zjeść nawet dobrą kolację. Poszedłem do restauracji.

A później długo dztwiliem się własnej beztrawce.

# 70 — lecie Towarzystwa Muzycznego

**P**ODPISANE na statucie osoby, należące do różnych grup społecznych, nie zajmują się muzyką i śpiewem, a nawet większą część nie ma instrumentów muzycznych — brzmiała opinia carskiej policji w związku z projektem powołania w Lublinie Towarzystwa Muzycznego. Po prostu obawiano się powstania jeszcze jednej organizacji polskiej. Nie dziwnego, że zatwierdzenie sprawy aż w Petersburgu trwało 14 miesięcy. Ostatecznie jednak 26 sierpnia 1898 r. odbyło się zebranie organizacyjne, na którym prezesem wybrano głównego inicjatora powołania Towarzystwa — adwokata Władysława Modrzewskiego. W ciągu roku było już 213 członków. Towarzystwo przyjęło na siebie rolę krzewiciela kultury muzycznej i śpiewaczej i tym zadaniem pozostało wierne do dnia dzisiejszego.

Pierwszy koncert w sali teatru, którą wynajmowano przez wiele lat, odbył się 4 grudnia. Wystąpiły chóry, kwintet smyczkowy i soliści. Recenzent pisał: „Teatr przypominał owe chwile, kiedy w murach naszego miasta pościli Mirziewski i Modrzewjska”. Odtąd niemal każdego miesiąca odbywają się dwa wieczory muzyczne z udziałem najwybitniejszych w owych czasach solistów.

Dochody z wielu koncertów przeznaczano na cele dobroczynne — dla uczniów i studentów, na budowę szpitala w Bychawie itp. W 1919 r. zorganizowano szkołę muzyczną.

Po pierwszej wojnie światowej Towarzystwo Muzyczne zorganizowało kilka konkursów o zasięgu ogólnopolskim, których ukoronowaniem był Festiwal Pieśni Polskiej w czerwcu 1925 r. Drzewiecki, Szymanowscy, Wilkomirscy, Artur Rubinstein, Ada Sari i wielu innych — to soliści koncertów, w których zawsze duży nacisk położony jest na propagowanie muzyki polskiej. Razem z teatrem Towarzystwo organizuje wieczory literacko-muzyczne oraz operomontaże, patronuje powstaniu Towarzystwa Filharmonicznego, przejmując wydawanie „Lubelskich Wiadomości Muzycznych”. Wojna przerywała działalność, chociaż koncerty dla rannych żołnierzy polskich odbywały się jeszcze prawie przez pół roku.

Nowy zarząd z prezesem inż. Ludwikiem Chelmińskim ukonstytuował się w czerwcu 1945 r. Towarzystwo przyjęło za swój cel popieranie twórczości muzycznej, prowadzenie akcji koncertowej, tworzenie sekcji umykalniaczej, opiekę nad muzyką ludową Lubelszczyzny. W krótkim czasie bujne wtedy życie muzyczne Lublina albo jest kierowane

bezpośrednio przez Towarzystwo, albo odbywa się pod jego patronatem. Wielkim powodzeniem cieszą się zwłaszcza operomontaże. Orkiestra filharmoniczna Towarzystwa w 1949 r. zostaje uuposażona, podobnie szkoły muzyczne, co zapewnia tym placówkom stabilizację. Wobec tego Towarzystwo postanawia przejść na bardziej społeczne formy działania, organizując obok własnej szkoły przede wszystkim ogniska muzyczne.

Dzisiaj Towarzystwu podlegają 23 społeczne ogniska oraz 38 filii terenowych. Średnia Szkoła Muzyczna oraz Studium Muzyczno-Artystyczne przy Woj. Związku Spółdzielni Pracy. Kształcą się w nich ponad 2 tysiące osób w bardzo różnym wieku. Wyróżniają się szczególnie ogniska nr 1 w Lublinie oraz w Krasnymstawie. W Zamościu, Bilgoraju, Hrubieszowie i Janowie Lubelskim działają oddziały Towarzystwa. W Lublinie liczy ono 223 członków, a prezesem od lat 29 jest adwokat Aleksander Czapski.

W krótkim zarysie historii wiele zasłużonego Towarzystwa Muzycznego trzeba jeszcze podkreślić, że zawsze wnosilo ono pokazywny wkład w życie kulturalne i społeczne Lublina i województwa, krzewiąc kulturę muzyczną i śpiewaczą, a jego zespoły wielokrotnie zdobywały nagrody na festiwalach i konkursach. Wysoka ranga w życiu naszego województwa, wyraży uznania od wojewódzkich władz partyjnych i administracyjnych w dniu pięknego Jubileuszu są tego najlepszym dowodem

(jd)

# Prowokuję do dyskusji

(Dokończenie ze str. 1)

lej sprawy „uznaniu administracyjnemu”.

Teoretycznie mówi się u nas o kryterium zatrudnienia: jeśli „miasto” — to przynajmniej 65 procent mieszkańców musi utrzymywać się z zajęć pozarolniczych. Gdyby to rygorystycznie zastosować w praktyce — to wiele naszych miast przestałoby być miastami: Hrubieszów, Włodawa, Bychawa, Bełżyce... Zresztą te dwa ostatnie miasta — jeszcze jeden kwiatek administracyjny — przez dwa lata pełniły funkcję stolic nowych powiatów wsłami będąc formalnie.

Trudno tu proponować jakieś radykalne rozwiązania.

Miasto nie istnieje samo dla siebie. Musi spełniać określone funkcje wobec otoczenia — gospodarcze, usługowe, kulturalne. W wypadku miast wielkich — wobec całego kraju. Mniejszych — w stosunku do określonego regionu. To otoczenie przecież w niemałym mierze wyznacza i dynamikę i kierunek rozwoju miast.

W teorii zdawano sobie z tego sprawę od dość dawna. Ale nie istniała najogólniejsza choćby kon-

cepcja przestrzennego zagospodarowania kraju. Nie istniało też planowanie regionalne. Inwestycje przemysłowe — główny przecież „czynnik miastotwórczy” — lokalizowane były w oparciu o mniej lub bardziej skrupulatne, lecz zawsze raczej doraźne analizy. I teraz daleko jesteśmy od idealu. Ale mamy przynajmniej ogólne koncepcje.

Warto spojrzeć na mapę naszego województwa. Trudno sobie wyobrazić, by Lublin mógł rzeczywiście spełniać rolę „stolicy” — kulturalnej choćby — wobec odległych terenów powiatu bilgorajskiego, tomaszowskiego czy bielskiego. Musi być więcej miast, dużych miast, „stolic regionów” ponadpowiatowych, o wysokim wyposażeniu w usługi.

Sama historia, bez naszych świadomych zabiegów, wyznaczyła już dwa takie miasta: Chełm i Zamość. Powstaje trzecie — choć bynajmniej nie z powodu racjonalizacji sieci naszych miast: Puławy. Ale pozostaje pusty obszar południowo-zachodni i — bardziej jeszcze od Lublina oddalony: północno-wschodni.

I stąd — bardzo uzasadnione propozycje lubelskich urbanistów. W planach perspektywicznych urbanizacji województwa — do roku

1985 — zakłada się szybki rozwój Kraśnika i Białej Podlaskiej. Mają to być miasta sześćdziesięcioletnie. Również Chełm i Zamość mają ludność podwoić: po siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Ale wzrost ten to, oczywiście, funkcja rozwoju przemysłu, usług, oświaty, kultury. Lublin straciłby monopol, któremu nie może podolać.

Bardzo pięknie wygląda ten nowy „układ planetarny” naszych miast. W teorii. W rzeczywistości wszystkie te „przyszłościowe” miasta: Lublin oraz Zamość, Chełm, Puławy, Biała i Kraśnik już teraz, na starcie niejako, dostają zadyszyki, potykają się, chwielająm dość krokiem zmierzając do świetności. Następnym razem przyjrzymy się temu z bliska. Teraz jeszcze tylko jedna sprawa — chyba istotna.

## Pozycja urbanisty

„Między młotem a kowadłem” — powiadają oni.

Gwałtowny „wybuch” urbanizacji jest faktem. Rola urbanisty z każdym rokiem wzrasta więc niepomniernie. Ale podczas reporterówkich wędrowek, narad, wielogodzinnych rozmów, „wizji lokalnych” nie zauważyłem, by proporcjonalnie wzrastał jego autorytet.

Można szukać różnych przyczyn. Jest to zawód młody, w nowoczesnym swoim kształcie. A tradycja dodaje splendoru. Są to i ludzie przeważnie młodzi. W dodatku jest ich niewiele. W większości naszych miast powiatowych — właściwie nie ma w ogóle urbanistów. Nawet na stanowiskach architektów

powiatowych nierzadko są absolwenci techników. Poważnie można mówić o zespołach urbanistycznych tylko w Puławach, Chełmie i Zamościu. W rezultacie całe prawie planowanie naszych miast odbywa się zdalnie, z Lublina, co nie zawsze wychodzi na zdrowie.

Z powodu tej słabości kadr wiele jest poważnych opóźnień. Plany nieraz muszą doganiać życie, choć można by sądzić, że powinno być odwrotnie.

Czy zatem za mało studentów kształcą nasze wydziały architektury?

Chyba nie. Ale niewielu z nich wybiera zawód urbanisty.

Bo jest to zawód piekielnie trudny. Nie tylko technicznie. Przede wszystkim... życiowo. Wplątuje w masę konfliktów.

Urbanistyka to sztuka widzenia całości. Konieczność. Stąd ciągle przetargi i spory z inwestorami, którzy, niestety zbyt często, poza swoim interesem nie widzą interesu miasta.

Urbanistyka to sztuka przewidywania. Prawdziwy urbanista musi myśleć kategoriami dalekiej przyszłości. Bo miast nie robi się, jak buty, na jeden sezon. Stąd konflikty z potrzebami chwili bieżącej. I nieraz zbyt brutalne naciski tych, którzy te potrzeby muszą zaspokajać. Naciaki wywierane najczęściej „w dobrej woli”. Ale najlepsze intencje przy braku wyobraźni, bez uwzględnienia dalszych skutków — często okazują się szkodliwe.

„Między młotem a kowadłem”. Urbanistyka więc — powiadają niektórzy — to sztuka kompromisów. Ale zbyt daleko idące kompromisy przestają być sztuką. A przecież urbanistyka to także sztuka po prostu i bez dodatków. Sztuka budowania pięknych, harmonijnych mądrych miast.

W tym sporze jestem po stronie urbanistów. Nie twierdzą bynajmniej, że są nieomylni. Ale wielokrotnie więcej błędów popełniono ignorując ich opinie. I na to mógłbym przytoczyć dziesiątki przykładów.

Dziwi słabość urbanisty w strukturze władzy terenowej. Są często uważani za tych, którzy „przeszkadzają”. Najczęściej... robić głupstwa. Głupstwa, które pozostaną i w roku dwutysięcznym.

Jedną mam tylko zasadniczą pretensję do lubelskich urbanistów, że działają — i cierpią nieraz — w ukryciu, w konspiracji prawie. Niezmiernie rzadko — w przeciwieństwie do wielu innych miast — odwołują się do opinii społecznej, która przecież mogłaby ich wspomóc. Nasze miasta rozwijają się niejako poza plecami ich mieszkańców. Z obopólną szkodą.

Nie ukrywam, że próbuję tu sprokować do dyskusji. Jeśli mi się to nie udało, zrobię to bardziej dobitnie i szczegółowo w jednym z następnych numerów „Kamenu”. Sprawa nie jest błaża. W miastach, które budujemy, będą mieszkańcy nasi wnukowie. Milken na samej Lubelszczyźnie. Nieprzyjemnie jest myśleć, że mogliby nas przeklinać.

Janusz Danielak



# Listy do KAMENY

# od BIEBRZY NO BIESZCZADY

## PASJA KSIĘDZA PACIAKA

Niektórym przesyłano pismo Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie w sprawie artykułu Pana Romualda Wiśniewskiego zamieszczonego w „Kamieniu” dnia 14.IV.1968 r. Nie wiem, jak to stało, ponieważ do wszystkich dziennikarzy podaje się adres danej osoby. Proszę łaskawie oświadczyć, czy Pan Wiśniewski nie ogłosił w tym piśmie informacji nie ogólnie dostępnej, ale szczególnie ważnej w sprawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie.

Z pozdrowieniem  
Ks. Wł. Paciak  
RADOM

W Pań. Władysław Paciak  
RADOM

Z przytoczenia przeczytałam w „Kamieniu” lubelskiej z dnia 14 kwietnia 1968 r. artykuł p. Romualda Wiśniewskiego, w którym napisano, cytując: „W roku 1967 m. in. W. Paciak” swoją indywidualną ekspozycję w galerii na Nowym Świecie, w Warszawie.”

Nie będziemy ukrywać, że poczuliśmy się dotknięci i niemile zdziwieni, że Ksiądz podaje tak szczegółowe dane biograficzne autorowi artykułu, zapomniawszy, że pierwszą indywidualną wystawę w Warszawie zorganizował Muzeum Przyjaciół Sztuk Pięknych w swoich dwóch salach wystawowych przy ul. Rutkowskiego nr 5 (palacjku i podziemi palacjku).

Z pozdrowieniem  
Za Zarząd  
Sekretarz Towarzystwa  
Władysław Walczak

OD REDAKCJI: Autor artykułu przepraszamy księdza Paciaka i Zarząd TPSP w Warszawie za to niedopatrzenie.

## TRUP PADŁ GĘSTO

Drugi Jacku, pisałeś w „li numerze „Kamień” m. in. o komiksach w „Słowie Ludu” i w „Gazecie Białostockiej”. I masz na pewno rację, że dobry komiks nie jest dla młodego chłopaka zły. A rysunekki zamieszczone w tych dwu dziennikach są co najmniej żalonne, wykonywane ręką niedołężną, przez kogoś, kto nie ma komiksowej wyobraźni i weny. Tak, nie przejęliśmy się, także Szymon Kobylinski, autor rysunków do „Czterech pancernych i psa”, wywiązuje się ze swego zadania niedostatecznie. Cenię Kobylinskiego — autora rysunkowych felietonów w „Polityce”, ale to, co zamieszcza w „Gazecie Białostockiej” napawa mnie niesmakiem. Nie chciałbym tu użyć pewnego słowa, którym określa się amatorów sukcesów (nie zawsze artystycznych) na niewie kulturę. A jeśli interesuje Cię, Jacku, mój stosunek do komiksów, to uważam, że u biorąc, ogromne moce tego narzędzia prasowego oddziaływać. Natomiast na Zachodzie zdają sobie z tego doskonale sprawę i nie rzadko wykorzystują komiks w celach propagandy politycznej. Wystarczy przytoczyć serię z Jamesem Bondem, agentem wywiadu, który zawsze wygrywa.

Bartłomiej Przybylski  
BIAŁYSTOK

## MIEDZY STARTEM A META

Stanisław Burakiewicz w artykule „Między startem a meta” („Kamena” nr 11) stawia problem przygotowania kadry trenersko-instruktorskiej do wychowywania młodzieży sportowej, do kształtowania jej oblicza moralnego i obywatelskiej postawy. Sprawa ta, poza wyjątkami, podlega jednoznacznej ocenie: przygotowanie to jest znikomym. Ale ja się temu nie dziwię, bo czegoż wymagać od trenera, jeśli nawet dziennikarskie prasy sportowej wykorzystują stronę sportu zajmując się sporadycznie tabelami, wyniki, obwodów hicepsów zapaśnika — oto główne zainteresowanie i treść prasy sportowej. Mało tego: kiedy poważne pisma społeczno-kulturalne, takie „Kamena”, biją na alarm, że etyka zawodników i trenerów nie jest najwyższa, że zbyt mocny akcent kładzie się u nas na sport wyczynowy, to np. „Przebieg Sportowy” chowa głowę w piasek. Słynna dyskusja o sporcie polskim, która rozwinęła się kilka lat temu na łamach „Polityki”, doczekała się riposty... miesiąc temu. Posłużył się „Przebieg...” m. in. w artykulem pewnego czytelnika, którego swego czasu nie chciała podobnie zamieścić „Polityka”. Dlaczego? Bo głos ten był w znacznym stopniu demagogiczny, a artykuł był jak skłębiony. Czego nie zauważył „Przebieg”, bo tak mu było wygodnie. Prasa posiada możliwość wychowania oddziaływania. Czy pamięta o tym „Przebieg Sportowy”?

Wiktor Zgorzelski  
KIELCE

## TAJEMNICA KAPLICY ZAMKOWEJ

Niedawno udostępniłno zwiędzającym zabytkowa wieża — donżon — na Zamku Lubelskim, w której znalazło miejsce muzeum martyrologiczne. Przeczytałem o tym w gazecie, ale na próżno szukałem i szukałem od dłuższego czasu jakichś informacji prasowej o terminie udostępnienia zwiędzającym kaplicy zamkowej ze wspaniałymi freskami bizantyjskimi. Malowidła te są niezwykle cenne, stanowią prawdziwy skarż kultury narodowej. Może więc dowiem się od Redakcji, kiedy wreszcie będzie można zobaczyć te freski. Ich konserwacja trwa już, o ile się nie myli, lat kilkanaście. Czy nie za długo?

Aleksander Himilbach  
LUBLIN

OD REDAKCJI: Niestety, nie możemy odpowiedzieć Panu na to pytanie. Najwcześniejszym terminem ten okrywa tajemnica.

## BIAŁYSTOK

Wzorem innych województw na Białostocczyźnie została utworzona Wojewódzka Scena Amatora. Podczas pierwszej imprezy wystąpiły: teatr poezji „Meluzyna” z Olecka z „Niobe” i „Wilem Stwoszem” K. L. Gałczyńskiego oraz zespół żywego słowa „Rym” Klubu Zw. Zaw. z montażem poetyckim „Kobiety, kobiety, kwiaty”.

Redaktor naczelny „Gazety Białostockiej” Kazimierz Nowak otrzymał podczas uroczystego wieczoru z okazji Dnia Działacza Kultury, jaki odbył się w Białymstoku — nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Gratulujemy.

W stolicy województwa odbyło się i Białostockie „Symposium Naukowe poświęcone przestępczości młodzieży. W obradach uczestniczył m. in. minister sprawiedliwości Stanisław Walczak. Lubelskie środowisko naukowe reprezentował kierownik Katedry Psychologii UMCS prof. dr Józef Reutt. Ogółem w obradach Symposium wzięło udział ponad 150 osób, reprezentujących przede wszystkim sądownictwo i resort oświaty.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku zgromadziło już prawie 10 tys. eksponatów. W ostatnich latach przybywa ich około półtora tysiąca rocznie. W 1967 r. Muzeum przeznaczyło na zakup eksponatów ponad 700 tys. zł, a 100 tys. zł na zakup książek dla muzealników.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku zgromadziło już prawie 10 tys. eksponatów. W ostatnich latach przybywa ich około półtora tysiąca rocznie. W 1967 r. Muzeum przeznaczyło na zakup eksponatów ponad 700 tys. zł, a 100 tys. zł na zakup książek dla muzealników.

Wzorem innych województw na Białostocczyźnie została utworzona Wojewódzka Scena Amatora. Podczas pierwszej imprezy wystąpiły: teatr poezji „Meluzyna” z Olecka z „Niobe” i „Wilem Stwoszem” K. L. Gałczyńskiego oraz zespół żywego słowa „Rym” Klubu Zw. Zaw. z montażem poetyckim „Kobiety, kobiety, kwiaty”.

Redaktor naczelny „Gazety Białostockiej” Kazimierz Nowak otrzymał podczas uroczystego wieczoru z okazji Dnia Działacza Kultury, jaki odbył się w Białymstoku — nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Gratulujemy.

W stolicy województwa odbyło się i Białostockie „Symposium Naukowe poświęcone przestępczości młodzieży. W obradach uczestniczył m. in. minister sprawiedliwości Stanisław Walczak. Lubelskie środowisko naukowe reprezentował kierownik Katedry Psychologii UMCS prof. dr Józef Reutt. Ogółem w obradach Symposium wzięło udział ponad 150 osób, reprezentujących przede wszystkim sądownictwo i resort oświaty.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku zgromadziło już prawie 10 tys. eksponatów. W ostatnich latach przybywa ich około półtora tysiąca rocznie. W 1967 r. Muzeum przeznaczyło na zakup eksponatów ponad 700 tys. zł, a 100 tys. zł na zakup książek dla muzealników.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku zgromadziło już prawie 10 tys. eksponatów. W ostatnich latach przybywa ich około półtora tysiąca rocznie. W 1967 r. Muzeum przeznaczyło na zakup eksponatów ponad 700 tys. zł, a 100 tys. zł na zakup książek dla muzealników.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku zgromadziło już prawie 10 tys. eksponatów. W ostatnich latach przybywa ich około półtora tysiąca rocznie. W 1967 r. Muzeum przeznaczyło na zakup eksponatów ponad 700 tys. zł, a 100 tys. zł na zakup książek dla muzealników.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku zgromadziło już prawie 10 tys. eksponatów. W ostatnich latach przybywa ich około półtora tysiąca rocznie. W 1967 r. Muzeum przeznaczyło na zakup eksponatów ponad 700 tys. zł, a 100 tys. zł na zakup książek dla muzealników.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku zgromadziło już prawie 10 tys. eksponatów. W ostatnich latach przybywa ich około półtora tysiąca rocznie. W 1967 r. Muzeum przeznaczyło na zakup eksponatów ponad 700 tys. zł, a 100 tys. zł na zakup książek dla muzealników.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku zgromadziło już prawie 10 tys. eksponatów. W ostatnich latach przybywa ich około półtora tysiąca rocznie. W 1967 r. Muzeum przeznaczyło na zakup eksponatów ponad 700 tys. zł, a 100 tys. zł na zakup książek dla muzealników.

## LUBLIN

Z okazji Dnia Działacza Kultury Rada Państwa przyznała Złoty Krzyż Zasługi lubelskiemu działaczowi kulturalno-oświatowemu — Marii Burian, Stanisławowi Leszczyńskiemu i Ignacemu Wachowiakowi.

W salach lubelskiego BWA otwarto poszerzoną wystawę malarstwa Józefa Abramowicza, plastyka przez wiele lat związanego z Lubelszczyzną. W klubie „Formy” czynna jest natomiast wystawa Wiktora Zina „Wieża lubelska w rysunkach”.

W lubelskiej Filharmonii dyrygował gościnnie Victor Godescu. Należą do młodego pokolenia rumuńskich dyrygentów. Konserwatorium w Bukareszcie ukonczył przed 13 lat. Orkiestra Filharmonii wykonała pod jego batutą m. in. Rapsodie rumuńskiego kompozytora Mircea Basaraby.

Ekipa warszawska telewizji realizuje film krótkometrażowy o Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, oparty na scenariuszu lubelskiego literata Zbigniewa Jakubika i dziennikarza Romualda Karasia: „Spór o Łysą Górę”. Scenariusz ten w ub. r. zdobył drugą nagrodę (pierwszej nie przyznano) w ogólnopolskim konkursie ogłoszonym przez TV.

## RZESZÓW

W związku z obchodami Dnia Działacza Kultury w siedzibie PWRN w

## KIELCE

W związku z obchodami 25-lecia powstania Ludowego Wojska Polskiego w Sali Rycerskiej kieleckiego zamku otwarto wystawę z okazji Stefana Agniewicza — „Z teki frontowej”.

Muzeum Świętokrzyskie narezerwie — po długotrwałym remoncie — otwarto podwoje dla zwiedzających. W salach muzealnych czynna jest wystawa historii najnowszej Kielcecczyzny (m. in. szeroko rozbudowany dział tradycji walk partyzanckich na terenie województwa), galeria malarstwa polskiego, wystawa etnograficzna i archeologiczna.

Interesująca impreza — Festyn Prasowy „Słowa Ludu” — prowadzi od pewnego czasu kielecki dziennik. Ostatnio Festyn odbył się w Skarżysku w związku z Dniami tego miasta oraz 45-leciem nadania Skarżysku praw miejskich.

Wzorem innych województw na Białostocczyźnie została utworzona Wojewódzka Scena Amatora. Podczas pierwszej imprezy wystąpiły: teatr poezji „Meluzyna” z Olecka z „Niobe” i „Wilem Stwoszem” K. L. Gałczyńskiego oraz zespół żywego słowa „Rym” Klubu Zw. Zaw. z montażem poetyckim „Kobiety, kobiety, kwiaty”.



Wzorem innych województw na Białostocczyźnie została utworzona Wojewódzka Scena Amatora. Podczas pierwszej imprezy wystąpiły: teatr poezji „Meluzyna” z Olecka z „Niobe” i „Wilem Stwoszem” K. L. Gałczyńskiego oraz zespół żywego słowa „Rym” Klubu Zw. Zaw. z montażem poetyckim „Kobiety, kobiety, kwiaty”.

## O ZSP gderliwie

(Dokończenie ze str. 5)

Wzorem innych województw na Białostocczyźnie została utworzona Wojewódzka Scena Amatora. Podczas pierwszej imprezy wystąpiły: teatr poezji „Meluzyna” z Olecka z „Niobe” i „Wilem Stwoszem” K. L. Gałczyńskiego oraz zespół żywego słowa „Rym” Klubu Zw. Zaw. z montażem poetyckim „Kobiety, kobiety, kwiaty”.

Wzorem innych województw na Białostocczyźnie została utworzona Wojewódzka Scena Amatora. Podczas pierwszej imprezy wystąpiły: teatr poezji „Meluzyna” z Olecka z „Niobe” i „Wilem Stwoszem” K. L. Gałczyńskiego oraz zespół żywego słowa „Rym” Klubu Zw. Zaw. z montażem poetyckim „Kobiety, kobiety, kwiaty”.

# Życie czy śmierć na raty?

(Dokończenie ze str. 5)

wszak prowadzi „stary zespół” do coraz większej doskonałości. Wiele osób zrobiło nawet eksternistyczne egzaminy aktorskie, sporo może i bez nich śmiało konkurować z aktorami zawodowymi. Dawni studenci — scenografowie pokonczyli studia plastyczne i robią teraz scenografię także w teatrach zawodowych. Przede wszystkim zaś wielu studentów-realizatorów przedstawił (Bogusław Litwiniec, Jan Skotnicki, Włodzimierz Herman, Helmut Kajzar, Andrzej Skupień — nie mówiąc już o Janie Biczyskim, bo ten dawno odszedł od ruchu studenckiego) ukończył lub właśnie kończy zawodowe studia reżyserskie i realizuje sztuki w teatrach zawodowych. Coraz częściej praca w teatrze studenckim pociąga ich z uwagi na możliwość dokonywania tutaj realizacji scenicznymi, na które nie mogą sobie pozwolić w nowym (i już podstawowym) miejscu pracy. Stąd specyficzny repertuar przenikający coraz częściej na sceny studenckie, stąd podobny repertuar w pomniejszych teatrach, gdzie modna się staje profesja „twórcy własnego teatru”, reżysera przetwarzającego „według swej wizji” znane dzieła dramatyczne. Stąd wreszcie — najczęściej — pogląd o konieczności dopracowywania się „zawodowego” warsztatu aktorskiego.

„preferowanie (w teatrach studenckich — przyp. aut.) tylko warsztatu teatralnego, jego doskonałość, to co nazwać by można „próbny galopami” na scenie studenckiej — pisze Chudziński w art. „być albo nie być” — zanim się

## KONKURS na jednoaktówkę o problematyce OSP

ZARZĄD Okręgu Wojewódzkiego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych w Lublinie, pragnąc przyczynić się do sponosa zrewolucjonizacji idei ochrony przeciwpożarowej i problematyki tej organizacji wśród najszerszego rzesz społeczeństwa, ogłasza konkurs otwarty na jednoaktówkę odpowiadającą tym wymogom.

Chodzi o utwory łatwe w odbiorze i zasadniczo myśli eksponujące w sposób przelotowy. Całość widowiska powinna się zmieścić w granicach 60-90 minut (czekolwiek nie jest to warunek prekluzyjny) i być przystosowana do możliwości realizacyjnych amatorskiej sceny wiejskiej. Organizatorzy konkursu uważają, że warunki konkursowe najlepiej spełni komedia obyczajowa, ale nie powinno to krepować uczestników konkursu, którzy mogą swoim utworom nadać inny charakter.

Konkurem objęty jest teren województwa lubelskiego, białostockiego, kieleckiego i rzeszowskiego, stąd do uczestnictwa w konkursie uprawnieni są autorzy z wszystkich czterech wymienionych województw.

Skład sądu konkursowego zostanie podany oddzielnie. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1.XI.1968 r. (decyduje data stempla pocztowego). Utwory w trzech egzemplarzach maszynopisu, zaopatrzone godłem autora, należy nadsyłać na adres: Zarząd Okręgu Wojewódzkiego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych — Lublin, ul. Strażacka 7.

Nagrody: I — 5000 zł, II — 3000 zł, III — 2000 zł, oraz jedno wyróżnienie w wysokości 1000 zł.

Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród, jak również prawo pierwszeństwa prac nagrodzonych oraz wyróżnionych. Ogłoszenie wyników nastąpi do dnia 1.XII.1968 r.

Kamena str. 11



## Z ŻYCIA WZIĘTE

# Głowa prezesa

**S**ZEF RSW „Prasa” prezesa Galińskiego poinformował niedawno na łamach „Trybuny Ludu” o gwałtownym wzroście nakładów prasy codziennej i periodyków. Ludzie zaczęli ostatnio więcej czytać. Z jednej strony — powód do radości, z drugiej — do żalności. Prezes Galiński nie ukrywa, że cieszy go ten rozwój prasy, ale jako człowiek gospodarny i przewidujący sygnalizuje, że w magazynach z papierem robią się niebezpieczne pustki.

Szanuje prezesa RSW „Prasa”, ale mu nie współczuję. Niech go boli głowa z powodu papieru, niech ze smartwienia nie je i nie śpi, rzecz warta jest takich smartwien. Wzrost nakładów nie

jest przypadkowy. Czytanie naszych gazet i tygodników stało się od pewnego czasu najbardziej pasjonującym zajęciem. Oto okazuje się, że wbrew temu, co dotychczas sądzono i wbrew temu, co usiłowano zrobić w praktyce, możliwa jest w naszej prasie polemika, dopuszczalna dyskusja. Jak nadęte balony pekły różne mity. W jednej i drugiej gazecie te i tamte autorytety sprowadzone zostały do normalnych wymiarów. Niewzruszone prawdy skonfrontowane z rozsądkiem, racje jednych przeciwstawiono racjom innych, ujawniono trochę faktów, pokazano trochę szczegółów.

Skarżył się niedawno jeden z autorów przeglądu prasy, że nie jest już w stanie odnotować ciekawszych pozycji z tygodniowej porcji czasopism. Do niedawna uważa takiego recenzenta ograniczała się do trzech, czterech tytułów, do zacytowania kilku artykułów i jakiejś nieuczestnej myśli ze „Słupiek”. Dziś całego przeglądu nie wystarczy, by zreferować treść jednego tygodnika. A tymczasem niektóre czasopisma, uważane do niedawna przez recenzentów za tygodnikowo-celny, przechodzą dziwne metamorfozy i wysuwają się przed uznane już tytuły. Kilka tygodni temu mała grupka ludzi wiedziała o czasopiśmie noszącym obowiązkowy tytuł: „Argumenty”. Dziś trzeba by czytać od deski do deski. „Argumenty” stały się najlepszym argumentem przeciwko marazmowi, jaki do

niedawna panował w wielu naszych czasopiśmie.

Przy sposobności okazało się, że tradycyjny recenzent tygodniowych periodyków jest już anachronizmem. Otworzyły się czasopisma, które nie okazują się tak często jak tygodniki. Bierze się teraz do ręki jakiś miesięcznik, dajmy na to „Miesięcznik Literacki” i zapomniała się o bożym świecie. Kiedyś miesięcznik mógł pisać o sprawach, które pokrył już kurz zapomnienia, a mimo to mówiło się, że redakcja stara się dotrzymać kroku aktualnym wydarzeniom. Dziś „Miesięcznik Literacki” publikuje pokrytą (prawdę mówiąc — celowo) kurzem pracę Leona Kruczkowskiego sprzed 33 lat i dzięki temu staje się najbardziej aktualnym piśmem, sekunduje temu, co się dzieje dziś, w tej chwili w życiu politycznym i literackim naszego kraju.

Zmieniły się kryteria oceny czy redakcji? Czas czy ludzie?

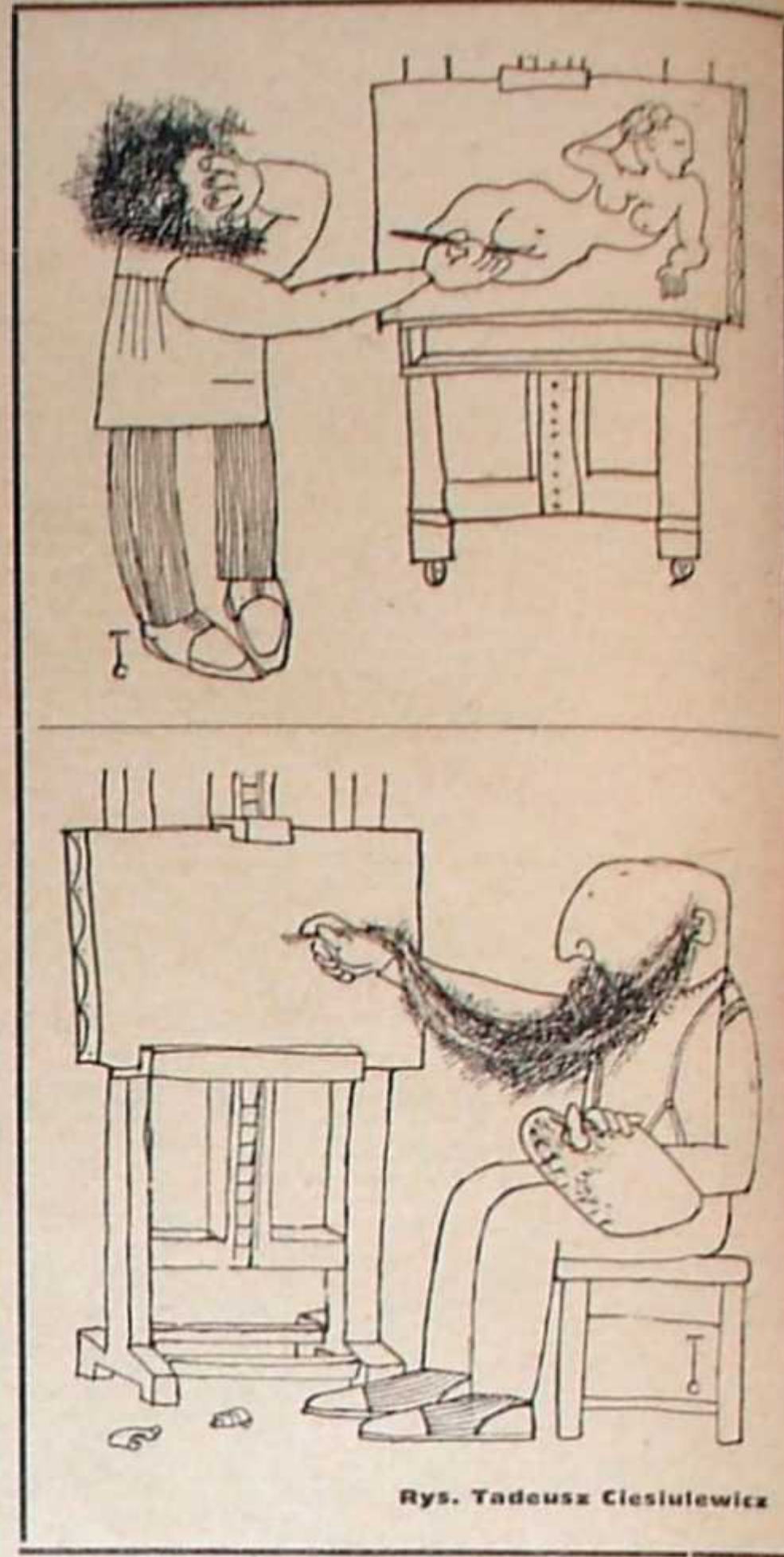
Jeszcze niedawno mówiło się, że za mało mamy w Polsce czasopism. Rzeczywiście, odnosiło się takie wrażenie przy czytaniu poszczególnych tytułów. Gdy się jednak człowiek trochę nad tym zastanowił, to dochodził do przekonania, że czasopismo — ilościowo biorąc — jest wiele. Gorzej było z ich treścią. Wystarczyło czytać dwa, trzy tytuły i miało się całą sprawę z głowy. Dochodziła do tego swoista metoda wartościowania tej

prasy. Istniały tytuły, które się liczyły w oficjalnej krytyce, tytuły, które stale gościły na łamach cotygodniowych przeglądów prasy. Były jednak czasopisma, te poza Warszawą i Krakowem, które egzystowały poza uwagą krytyki (nie licząc chlubnego wyjątku Polskiego Radia poświęcającego stałe audycje czasopisom regionalnym), poza kręgiem tego, co miało rażące znaczenie i znak wyróżnienia. Pewnego dnia okazało się, że renomowane tygodniki wcale nie mają monopolu na aktualność, zaangażowanie i jakość publicystyki. Ze prowincjonalny tytuł posiada wcale nie prowincjonalne pióra i publicystykę.

Metamorfozy trwają. W jakimś tygodniku pojawia się po raz pierwszy rząd fotografii zwykłych robotnic, jakies pismo satyryczne stara się odkryć coś takiego, jak satyra polityczna, jakiś miesięcznik deklaruje we wstępnym materiale, że pragnie się włączyć w nurt autentycznych wydarzeń kraju, w którym wychodzi.

Prezes Galiński nie pozbędzie się chyba powodów, które z jednej strony przyprowadzają go o pełen zadowolenia uśmiech, z drugiej zaś rysują mu głębokie zmarszczki na wysokim czole. Nakłady prasy będą nadal rosły, potrzeba będzie coraz więcej papieru. Prezesa Galińskiego nie przestanie chyba boleć głowa. Niech go boli!

BAR



Rys. Tadeusz Ciesiulewicz

## NOTY i notki

**A WIĘC JESZCZE JEDNĄ CHOROBY** narodową mamy poza sobą — XXI Wycieczkę Pokoju. Nie tyle zdziwilo mnie zwycięstwo rodaków, ile kilka innych spraw. Dwa etapy były dłuższe po 10 km niż zapowiadano, do przedostatniego wieczoru nie było wiadomo, czy bonifikaty za floletową koszulkę będą odliczane zespółem, zwycięzcy w Lublinie — pewnie w ramach walki z antykalhoizmem — ofiarowano bezczkę z winem. Zwycięzca etapu Włoch Levati dyskretnie powstrzymał się od porównania plynu z Milejowa z winem „Chianti”.

**JAK PAMIĘTAMY** w Festiwalu Piosenki w Sopocie uczestnicy ok. 50 solistów, tytuł muzyków, J. Kydryński i kilka innych osób. Z wiadomości w „Trybunie Ludu” dowiedzieliśmy się, że dla uczestników Festiwalu zarezerwowano 70 miejsc hotelowych. Przypnie, że propozycja osób towarzyszących do solistów wydają mi się nieco przesadnie.

**CZY TANIEC Z KOSCIOTRUPEM** jest kwestią o kontencie światowym? Jeżeli wierzyć „Forum” — tak. W każdym numerze zamieszcza ono w stopce uwagę, że „nie publikuje materiałów dotyczących spraw wewnętrznych poszczególnych państw poza kwestiami o kontencie ogólnoswiatowym”, a w nr 21 tuż ponad tą uwagą reprodukuje zdjęcie pewnej mieszkanicy Londynu, tańczącej z kosciołotrupem — „nieco chłodnym w zblizeniu partnerem”. Przysięgam, że podobne tańce na balach medyków widziałem i przed i po wojnie, nie wyścazarz AM w Lublinie. Ale żeby z Londynu i Lublina robić żart kontekst ogólnoswiatowy?

**TEATR IM. OSTERWY W GORZOWIE** wystawił „Romeo i Julię”. Jeżeli wiadomość o tym, że Julia występuje w minijuce, dotrze do autora — chyba raz jeszcze przewróci się w grobie. Teraz wypadła czekać na Ryszarda II w dzinsach i na Marie Stuart w stroju toples.

**NIEZWYKLE CUDA** dzieją się w egzotycznej Japonii. Oczywiście tylko według informacji agencji WIT-AR, latwowiernie powtórzonej przez „Sztandar Ludu” w nr 124. Okazuje się bowiem, że w Japonii wybudowano stocznię, a w ciągu miesiąca po jej zakończeniu przekazano armatorowi zbiornikowiec o nośności 183 tys. DWT.

### KUCHNIA TO MOJE HOBBY



MAMO JESTESMY GŁODNI

CAŁA RODZINA OBSŁUZONA JEDNOCZEŚNIE



DZIEKI NOWEJ DUŻEJ PATELNI



PAROPANA 13

**KUCHNIA** to moje hobby — głosi dumnie kacik reklamowy „Argedu” w nr 21 „Panoramy”. Coś mi się jednak wydaje, że jeżeli chodzi o czwarty rysunek to rzecz dotyczy innej części mieszkania, zwanej pospolicie sypialnią.

JOD

Tylko do 10 czerwca „Ruch” i poczta przyjmują prenumeratę „KAMENY” na III kwartał br.

## MINUTA MYŚLENIA

# A może MUO?

**N**IEKTÓRE ustanowienia i praktyki w naszym kraju wyglądają tak, jakby je wymyślił felietonista w trosce o zapewnienie sobie tematów. Stawianie sprawy na głowie jest do zaobserwowania nawet tam, gdzie wydawałoby się, że samo prawo życia uniemożliwia swobodę biurokracji. Czy paradoksalnie. Czy jakiejś absurdokracji.

Oto mały przykładzik.

W przeszło dwustu tysięcznym mieście Lublinie istnieją trzy sklepy z artykułami żelaznymi. Jeden z nich aktualnie znajduje się w remoncie, drugi „na składzie” w ogóle gwóźdź nie posiada, a trzeci „nie prowadzi” sprzedaży dla osób prywatnych. Dajmy na to, drogi Czytelniku, że otrzymałeś nowe mieszkanie (co się w tym mieście zdarza mimo wszystko dość często) i musisz zainstalować karnisz, czy jakies tam wieszaki. Bez gwóźdźi raczej ani rusz. Gdzie je kupić? Wszystko „prawidłowo” obmyślone: jednemu sklepowi ujmuję się ucieśnliwy asortyment, drugi zwraca się do trzeciej, trzeci dla dobra klienta musi przybrać nową szatę, a takiego drobiazgu, jak gwóźdź nie uświadczysz. Chyba, że doczekasz okazji wyjazdu w teren i tam w jakimś miasteczku nabędziesz to, czego w mieście wojewódzkim dostać nie można. Albo o swoje dziesięć gwóźdźi uda ci się powiększyć zapotrzebowanie instytucji, w której pracujesz i jakimś sposobem dopniez swego. Ale jeśli w teren nie wyjeżdżasz, a instytucja Twoja gwóźdźi nie kupuje?

Zadziwiająca, że organizatorzy handlu w mieście — Wydział

Handlu PMRN — znając tę sytuację — nie widzą w niej nie normalności. Pod kłosem absurdu, w izolacji od potrzeb życiowych ta biurokratyczna sielanka ma wszelkie dane trwać sobie w nieskończoność. Nikt nie poskrobie się po głowie, nie puknie w czoło, nie spojrzy na rzecz. Dopiero klient nagłony zapotrzebowaniem na koniecznych, ale jakieś śmiesznych jako „problem” parę kawalków metalu nadziewa się na oryginalność ustanowioną tam, u samej góry.

Śmieszne? Śmieszne. Nawet śmieszno o tym pisać. Bo przecież temat to raczej dla krótkiej dziennikarskiej notatki. Ale właśnie dlatego, że tak drobne, że tak łatwe do usunięcia, a jednak istniejące i dokuczliwe — staje się godne debat i analiz. Bo w czym przyczyna, że tak się dzieje? Przecież to nie skutek jednostkowej pomyłki, to rezultat kolegiatnych ustanowień. I dlaczego klienci dotychczas nie ingerowali? Trudno przypuścić, że jedynym porzebiującym parę gwóźdźi jest od paru lat autor niniejszego felietonu. Parę małych przedmiotów, ale absurd spierzchnięty na wysokości całego „piołny” administracyjnego.

Mówi się o naszym kraju, jako kraju paradoksołów. Niektórzy z nich są nawet interesujące, świadczą o umiejętności znalezienia dowcipnych rozwiązań wśród sprzeczności współczesnego życia — i to są na eksport. Dla zagranicznych dziennikarzy i turystów, którzy wyrabiali nam dobrą markę na arenie międzynarodowej. Jak za wódkę i dowcip polityczny made in Poland. Ale są też paradoksy wynikłe z bezwładu, niedbałości, nieostrożności widzenia najprostszyc spraw i te są w stanie napuścić tyle krwi, że powinno ustać wszelkie krwiodawstwo.

To są nasze paradoksy „wewnętrzne”. Trudno zrozumieć ciepłociwość, z jaką pozwalamy im prosperować na obszarze naszego życia społecznego w charakterze nienaruszalnych tabu. Świętych krów. Z tych krów warto zrobić nie tabu, ale tabun. I przepędzić go z oczyszczonych łąk, niech zejda z tego świata bezpotomnie. Co najwyżej jeden wypchany okaz zachowaj dla przyszłego MUO, Muzeum Urzędniczych Osobliwości.

Ijon

## BIG-BEAT

# Jak topić dziecko w kąpeli?

**P**ANIE Redaktorze! Jak Panu wiadomo, w Lublinie narodziła się idea powołania do życia Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych. Dzięki poparciu Wydziału Kultury Prez. WRN odbyły się już dwa ogólnopolskie zjazdy pisarzy ludowych. Twórczość literacka wsi została ujęta w zorganizowane ramy, ludzie z różnych części kraju — co nie jest bez znaczenia — mogli poznać się osobiście, skonfrontować swoje poglądy, wymienić doświadczenia.

Z pomocą Klubowi (ostatnio przekształconemu w Stowarzyszenie Twórców Ludowych) przyszła i „Kamena”. Cztery razy w ciągu roku na jej łamach ukazują się specjalna wkładka „Ziemia i Piesń”. Utwory poetów ludowych znalazły się wreszcie w trzech antologiach przygotowanych przez Elżbietę i Romana Rosiaków, które ukazały się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Właśnie o tych antologiach chciałem kilka słów powiedzieć, bo rzecz wydaje mi się co najmniej dziwna. Pierwsza antologia pt. „Wiersze proste jak życie” ukazała się w 1966 r. Zawierała ona 100 utworów 100 poetów wiejskich. Cena książeczki (122 strony) wynosiła 10 złotych. Nakład 1057 egzemplarzy.

Druga antologia pt. „Wies tworząca” wyszła również w 1966 r. Miała już ona nieco inny charakter. Prezentowała 25 twórców ludowych. Zawierała ich zdjęcia i krótkie życiorysy. Tomik był już pokąźny, bowiem zawierał 229 stron, jego cena wzrosła do 28 złotych, a nakład do 1757 egzemplarzy.

W tym roku ukazała się trzecia antologia. To już nie tomik, ale tomisko, 502 strony, 129 nazwisk, każdy z poetów ludowych reprezentowany jest co najmniej przez dwa utwory. Są tu również życiorysy twórców i ich zdjęcia. Wzrosła liczba stron, wzrosła i cena książki. Kosztuje ona już 35 złotych.

Patrz na stopkę i przecieram oczy ze zdumienia. Nie, nie myśl

Stoi czarno na białym, że nakład owej trzeciej antologii wynosi... 1054 egzemplarzy (dokładnie 800-250). Nie wiem, czy 129 poetów, których utworzy się tu znalazły, zdola obdarzyć książką nawet najbliższych członków rodziny. Powstaje więc rzecz paradoksalna: wydawnictwo, które powinno zostać przeznaczone dla szerokiego rzesz wiejskich odbiorców, które powinno się znaleźć w każdej wiejskiej bibliotece, staje się białym krukiem mogącym trafić jedynie do rąk najbardziej zainteresowanych. W ten oto prosty sposób dziecko zostaje utopione w trakcie kąpeli. Piekny pomysł popierania poezji ludowej przekształca się w parodię, a kupę pieniędzy — Wydział Kultury Prez. WRN finansuje przeciwie tę imprezę — wtrzuca się bezproduktywnie.

Wydawnictwo Lubelskie będzie się zapewne chwalić w sprawozdaniach: popularzujemy poezję ludową. Guzik — panowie i panie! To nie jest popularzacja. To jest o d f a j k o w y a n i e.

Chociaż... Może to nie ja mam rację, ale Wydawnictwo? Przejrzałem dokładnie ostatnią antologię. Przejrzałem i przeraził mnie. Znalazłem tu tyle typowej grafomanii, że aż mi dech zaparło w piersiach. Czy rzeczywiście trzeba było zaprezentować aż 129 członków Klubu? Czy nie można było przeprowadzić znacznie większej selekcji? Komu potrzebna jest np. publikacja takich fraszek jak „Łapówkobiorec”. (Chociaż prawo temu przeczy. Trudno, ten się

zna na rzeczy”) czy „Motocyklista” („Pełnym gazem jechał sobie. Aż się znalazł w ciemnym grobie”). Co to ma wspólne z tym, co określamy mianem poezji ludowej?

A już szczególnie denerwują mnie ci najmłodsi, których utworzy znalazły się w antologii. Niejednokrotnie, jak wynika z życiorysów, mają oni średnie czy półwyższe wykształcenie. Trudno ich więc uważać za samouków, ale można się też dziwić, że jako tako radzą sobie ze sztuką rymotwórstwa. Ba — niektórzy z nich mieszkają w miastach, można przypuszczać, że oderwali się od wsi. Zamieszanie w antologii kilku „wierszy” takich młodzienców, ich krótkich życiorysów i zdjęć nie jest zbyt pedagogiczne. Młody człowiek gotów uwierzyć, że jest poeta. Później będzie miał żal do całego świata, jeśli poszczególne redakcje zaczną urażać kosze jego grafomańskimi utworami.

Panie Redaktorze, myślę, że będę dobrze zrozumiany. Doceńiam znaczenie poezji ludowej, tym bardziej, że w tejże samej antologii znajduję prawdziwe perły poetyckie, ale nie można pomagać tym, którzy boczną ścieżką, z popychem chcą się wdrapać na Parnas. Szybko zeń spadną i wprawdzie kości sobie nie pogruchoczą, ale będą mogli czuć się oszukani i przez Wydawnictwo Lubelskie i przez państwa Rosiaków, którzy są zdumie, że bezwidnie — uczynili im po prostu krzywdę.

Jacek

## Odpowiedzi redakcji

**K.J.** w Olsztynie. Pana fraszka pt. „Katastrofa”: „Zamknął oczy żywot wszelki, gdy dźwięgi pekły szelki”. Niech Pan nie doprowadza swojej twórczości do katastrofy! Nie jesteśmy przewrażliwieni, ale — wydaje się nam — że przy wysyłaniu materiałów do redakcji wypada dołączyć choć krótki list przewodni. Trudno nam znać bliżej wszystkich obywateli PRL!

**J.W.** w Łodzi. A jednak wolimy Pana fraszki niż wiersze, które Pan ostatnio nadesłał. Sądymy, że na poetycki debiut jeszcze za wcześnie. Pozdrawiamy.

**R.D.** Bardzo przepraszamy za zwłokę. Materiał o Tarnobrzegu zakwalifikowany do druku, czeka na swoją kolejkę.

Stale czytelniczki ze Starachowic. Piszecie w liście: „W „Kamieniu” jest bardzo dużo ciekawych rzeczy, nawet tych, które mogą pouczyć. Ale, niestety, brak tu jest reportażów na temat miłości lub przyjaźni. Bardzo lubimy np. czytać wypowiedzi koleżanek na swój ulubiony temat, lubimy słuchać rad, które pomogłyby nam w życiu. Prosimy o podanie odpowiedzi na poruszone problemy oraz artykuły pisane przez nas w następnym numerze „Kamienia”. Przyślijcie owe artykuły, może znajdziemy temat do dyskusji. A „reportażów” na temat miłości lub przyjaźni brak nie tylko w „Kamieniu”. Ludzie niechętnie zwierniają się: przyjaźń, a zwłaszcza miłość — to uczucia bardzo intymne...”

**M.J.** w Lublinie. Nadesłał Pan rymowany list do redakcji: „Nie chcę robić Wam sceny / Leez chciałem prosić o oceny / Moich wierszyków i twórczości. / Chciałem zawrzeć z Wami znajomości. / Jestem szczeniakiem, / Nie wiem, czy będziecie chcieli rozmawiać z poetą takim / Leez przesyłam Wam 2 wiersze moje. / Muszę Wam przysłać je, bo wyrwam klak za klakiem. / Dłużej nie usiedzę i nie ustoję...” itd., itd. Nie chcieliśmy, aby Pan całkiem wyliszał, dlatego szybko odpisujemy. A więc „wiersze” podobne do listu, którego fragment cytujemy. Papier jest cierpliwy, my trochę mniej...

**S.M.** w Białymstoku. Fragmenty „Opowieści o cióce Rozalii” zakwalifikowaliśmy do druku („Prolog”, „Cyfiodropuntia molesta”, „Post scriptum” i „...z młodych pędów”). Dziękujemy za pamięć.

**L.P.** w Lublinie. Niestety, wiersz o Birezy nie ma wartości poetyckich. I my żalujemy.

**Z.B.** w Krakowie. O „Orce” pamiętamy. Dedykację dodamy.

**K.R.B.** w Szczecinie. Trudno nam zgodzić się z Panem i nazwać wierszami to, co Pan nadesłał ostatnio.

**B.M.** w Giżycku. Nie jest Pan wcale oryginalny. W pierwszej zwrotce utworu, który nie wiemy dlaczego podpisuje Pan swoim nazwiskiem, odnajdujemy jako żywo Grochowiaka, w drugiej znów Brylla, a w trzeciej dosłownie przepisana Szymborska. Zmusza nas Pan do poszukiwań i porównań. Jeśli to miał być żart, to, niestety, nie udał się Panu.

**K.B.** w Nałęczowie. Nie mamy zbyt wielkich wpływów w „Ruchu”, ale do wiadomości dyrektora Rodaka przekazujemy Pana słowa: „W Nałęczowie „Kamena” znika po dwóch dniach”. Wniosek jest prosty: trzeba przeanalizować nadsyłane, tym bardziej, że lato za pasem.

**P.K.** w Krakowie. Tyle razy pisaliśmy, że najlepszym sposobem otrzymywania „Kamienia” w Katowicach, Poznaniu czy Krakowie jest prenumerata. Do 19 czerwca może Pan zaprenumerować nasze pismo na kolejne półrocze.

**B.T.** w Lublinie. Proszę nam wierzyć: 90 proc. materiałów nadsyłanych do redakcji to poezja — całkiem zła, średnia i dobra. Dobrej jest, niestety, najmniej. Mimo najszerszych chęci nie jesteśmy w stanie ocenić jej „od ręki”. W każdym bądź razie brak odpowiedzi w przeciagu trzech miesięcy należy w zasadzie rozumieć jako nie zakwalifikowanie wierszy do druku.

„Komety”. Niestety, i tym razem nie do druku. Redakcja nie zawsze musi się zgadzać w ocenie nadsyłanych materiałów, zwłaszcza, gdy wiersze — jak Pana — są po prostu nijakie.